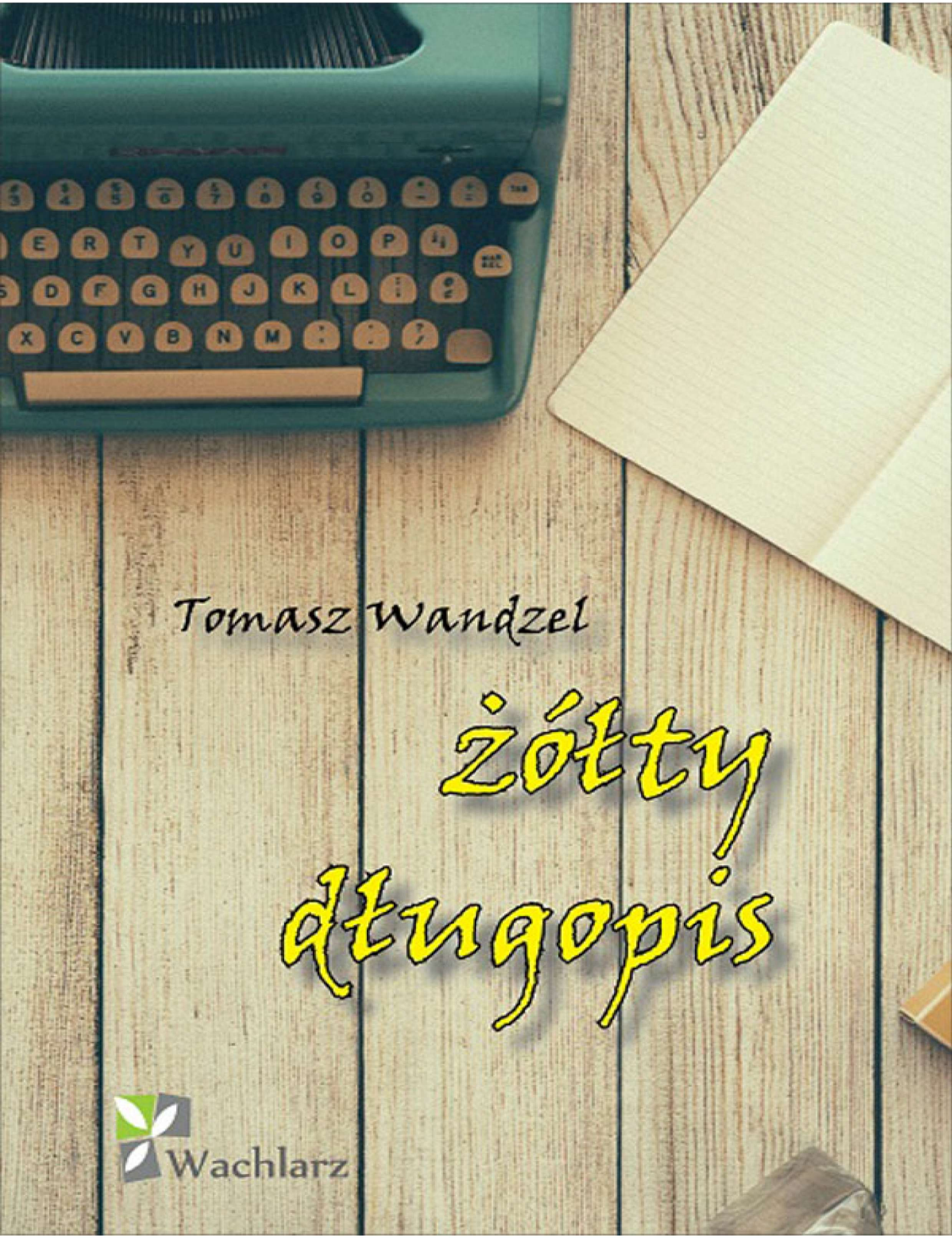

Tomasz Wandzel

Żółty długopis

Wachlarz

Tomasz Wandzel

żółty długopis

Wydawnictwo Wachlarz 2017

© Copyright by Tomasz Wandzel, Prabuty 2017

wandzel@onet.pl

Korekta

Katarzyna Wandzel

Izabela Rytwińska

DTP

Tomasz Targosz

Wydawnictwo Wachlarz – F.H.U. Aris-Art ul. Lipowa 2

82-550 Prabuty

tel. 692773377

www.wandzel.eu

Prabuty 2017

Wydanie I

ISBN 978-83-935268-4-0

SPIS TREŚCI

WSTĘP

CAFÉ RONDO

ŚLADY PRZESZŁOŚCI

PRZYJACIELE

PACJENT

SIOSTRA

BANKOMAT

WRÓBLE

WSTĘP

Jakiś czas temu postanowiłem opisać Prabuty. Urocze miasteczko, w którym mieszkam od kilkunastu lat. Długo poszukiwałem odpowiedniej formy. Wybór padł na opowiadanie. W ten sposób powstał *Żółty Długopis*, zbiór siedmiu opowiadań. Ich akcja w mniejszym lub większym stopniu rozgrywa się w Prabutach. Łączy je jeszcze coś, ale to niech na razie pozostanie tajemnicą. Na kartach tej książki czytelnik spotka autentyczne miejsca, zdarzenia, a nawet ludzi. Przestrzegam jednak przed traktowaniem opisanych historii jak materiału dokumentującego życie Prabut i ich mieszkańców. Całość należy uznać za fikcję literacką. Pragnę również podkreślić, że jakiekolwiek podobieństwo nazwisk, zawodów i perypetii bohaterów do osób żyjących lub zmarłych jest czysto przypadkowe i niezamierzone.

CAFÉ RONDO

Dagmara uznała dzień za udany. Co prawda do końca pracy pozostały jeszcze dwie godziny, ale najważniejsze miała już za sobą. Zakończyła jeden z trudniejszych projektów, jakie przyszło jej prowadzić. Gdy wysłała do dyrektora raport końcowy, kamień spadł jej z serca. Lubiła swoją pracę. Należała do tych ludzi, dla których praca była przyjemnością, a nie tylko i wyłącznie smutnym obowiązkiem, pozwalającym egzystować na wyższym czy niższym poziomie. Poza tym traktowała pracę jak odskocznię od tego innego życia, pozbawionego radości, pełnego strachu, odartego z nadziei na lepsze jutro. Dźwięk nowej wiadomości przerwał jej rozmyślania o dwóch stronach jej życia. Kliknęła w ikonkę pulsującej koperty i po kilku sekundach dotarło do niej, że za wcześnie uznała dzień za udany. Siedziała wyprostowana przy biurku. Wpatrzona w monitor kolejny raz uważnie czytała treść wiadomości. Sens e-maila nie wymagał pogłębionej lektury,

zrozumiała go od razu. Ale analizowała z zawodową precyzją każdy wyraz, szukając powodu. A ten musiał być i to z całą pewnością. Szef nie wzywał do siebie od tak na pogawędkę o pogodzie, czy filiżankę porannej kawy. Pracowała w korporacji na tyle długo, by to wiedzieć. Poza tym była już czternasta, więc nawet abstrakcyjna poranna kawa nie wchodziła w grę. Musiała coś zawalić. To było jedyne logiczne wyjaśnienie zaproszenia na rozmowę. Tylko, co mogła spieprzyć? Zastanawiała się, kreśląc żółtym długopisem esy floresy na kartce z logo korporacji. Z pewnością nie mogło chodzić o właśnie zakończony projekt. Raport wysłała zaledwie przed kwadransem, więc szef raczej go jeszcze nie czytał. Próbowała przypomnieć sobie szczegóły ostatnich kilku projektów, jakie prowadziła, ale nic niepokojącego nie przykuło jej uwagi.

Tyle że to, co dla niej mogło być zupełnie normalne, szef mógł uznać za poważny błąd. Wiedziała, że kilka osób przez takie właśnie błahostki pożegnało się z pracą w korporacji. W sprawach zawodowych kierowała się regułą, którą stosowała w życiu prywatnym, że lepiej nie występować przed szereg. Tej zasady nauczył ją mąż kilka tygodni po ślubie i była to bardzo bolesna lekcja, którą pamiętała do tej pory.

Chcąc mieć rozmowę z przełożonym jak najszybciej za sobą, dopiła prawie zimną kawę i wyszła z biura odprowadzana współczującymi spojrzeniami koleżanek. W drodze do windy odwiedziła jeszcze łazienkę. Spojrzała na swoje odbicie w lustrzanej ścianie. Długie ciemne włosy

upięte w nieco staromodny kok nie budziły zastrzeżeń, dyskretny makijaż sprawiał, że w przeciwieństwie do licznych koleżanek jej twarz wyglądała bardzo naturalnie. Grafitowa garsonka oraz kremowa bluzka z kołnierzem upodobniały ją do setek innych pracownic korporacji. Wypróbowała kilka min, które miały dodać jej pewności siebie, ale żadna nie wyglądała zbyt wiarygodnie. Przed wyjściem z łazienki wyciszyła jeszcze telefon komórkowy.

Gabinet szefa znajdował się na ostatnim piętrze biurowca zarezerwowanym wyłącznie dla zarządu i dyrektorów działów. Tu, w odróżnieniu od pozostałych kondygnacji, panował błogi spokój. Siedząc na wygodnej skórzanej sofie próbowała rozwiązać zagadkę wizyty u szefa. Czuła, że jej mięśnie coraz bardziej są napięte. Gdy w końcu została zaproszona, z trudem przeszła kilka metrów, jakie dzieliły ją od gabinetu dyrektora. W trakcie trzech lat pracy była w nim zaledwie dwa razy. Pierwszy, gdy została zatrudniona i zgodnie z procedurami musiała zaprezentować się szefowi. Drugi raz w trakcie prowadzenia bardzo trudnego projektu dla jednej z kanadyjskich firm. Tyle że w ostatnim przypadku nie była sama, ale z całym zespołem odpowiedzialnym za projekt.

W gabinecie nie zaszły żadne zmiany. Szaro-niebieska wykładzina, meble z ciemnego drewna o wyraźnych słojach, kremowe ściany z kilkoma grafikami najprawdopodobniej rysowanymi węglem. Sam szef też prawie nic się nie zmienił. Średniego wzrostu, po czterdziestce, o włosach koloru wilgotnego piasku i przeciętnych szarych oczach.

Nawet rysy twarzy nie miały w sobie nic przykuwającego, były zwyczajne, by nie powiedzieć banalne jak na tak inteligentnego człowieka. Mimo wyglądu, w którym dominowała swego rodzaju pospolitość, był elokwentny, doskonale wykształcony i wymagający. Słyszała, że zaczynał w korporacji od stanowiska referenta, by po piętnastu latach ciężkiej pracy awansować aż na stanowisko dyrektora. Niektórzy wróżyli mu nawet miejsce w zarządzie, a byli tacy, co widzieli go na samym szczycie.

Dagmara usiadła na wskazanym krześle. Dyrektor, tak jak to miał w zwyczaju, chodził po gabinecie. Obserwowała go dyskretnie, czekając na rozwój wypadków.

– Pani Dagmaro, nie lubię owijać w bawełnę – zaczął, przystając przy dużym oknie sięgającym od podłogi po sufit. Ciemnoszary garnitur podkreślał szczupłość sylwetki, dodawał nieco elegancji i z pewnością został uszyty na miarę. – Wie Pani, że Magda Wójcik jest w ciąży i szukamy osoby, która na najbliższych kilkanaście miesięcy przejmie jej obowiązki – Dagmara przytaknęła, lekko ściskając w dłoniach żółty długopis. – Właśnie Panią widziałbym na tym stanowisku – oznajmił, podchodząc do biurka. Otworzył leżącą na blacie teczkę. – Co prawda, pracuje Pani u nas zaledwie trzy lata, ale przeglądając projekty, które Pani koordynowała, byłem pod wielkim wrażeniem. Raport, który przesłała mi pani dzisiaj, tylko to potwierdził. Ktoś, kto zna cztery języki obce i ma tak obszerną wiedzę z zakresu rekrutacji, powinien dostać swoją szansę i tak proszę właśnie potraktować tę propozycję.

Dagmara spodziewała się wszystkiego, ale nie tego, że otrzyma awans. Jej zdaniem, którego naturalnie głośno nie wypowiedziała, było kilka osób bardziej zasłużonych dla korporacji.

– Oczywiście wraz z nowymi obowiązkami ulegną zmianie warunki Pani wynagrodzenia. – Dodał pośpiesznie przełożony, najpewniej niewłaściwie interpretując wyraz jej twarzy.

Pół godziny później po całej firmie lotem błyskawicy rozeszła się wiadomość o jej awansie. Wychodząc do domu już zauważała zazdrosne spojrzenia tych, którzy chętnie widzieliby siebie na jej miejscu.

Jadąc żółwim tempem przez zatłoczone wrocławskie ulice zastanawiała się, czy gdyby oni wszyscy wiedzieli, jak wygląda jej życie, nadal byliby zazdrośni? Bardzo wiele przeczytała o żonach alkoholików, w końcu była jedną z nich. Podczas gdy inne zastanawiały się, dlaczego nie potrafią odejść, ona rozmyślała, dlaczego nadal tkwi w małżeństwie bez przyszłości. To nie była miłość, tego była pewna. Uczucie przynajmniej z jej strony zgasło nim na dobre zdążyło zapłonąć. Może był to lęk, że zostanie sama. Strach tym bardziej irracjonalny, że ze swoim wykształceniem, wiedzą i umiejętnościami nie potrzebowała dobrze zarabiającego męża, w dodatku alkoholika.

Po powrocie do domu miała wystarczająco dużo czasu, by posprzątać i przygotować mężowi obiad. Dziki ochrypły śpiew, jaki usłyszała na klatce schodowej, oznaczał jedno. Adam wracał pijany. Ostatni raz zlustrowała kuchnię,

przecierając ponownie błyszczący talerz. Kiedyś powodem do kilku uderzeń, które przyjęła z poczuciem winy, był zagięty róg serwetki. Zajrzała do łazienki. Tu też wszystko wyglądało perfekcyjnie. Świeży ręcznik na wieszaku, czysta bielizna na półce.

– Gdzie są te pierdolone kapcie? – usłyszała wychodząc z łazienki. Szurając nogami mąż wszedł do kuchni. Dagmara pomogła mu zdjąć marynarkę, odpięła guzik przy kołnierzyku koszuli. Przekrwione oczy patrzyły na nią z błyskiem, którego najbardziej się bała.

– Właśnie taką cię lubię – wybełkotał mąż miażdżąc jej wargi brutalnym pocałunkiem i wsuwając dłoń pod bluzkę. Poczuła w ustach odór alkoholu.

– Adam, obiad wystygnie – powiedziała, próbując uwolnić się z mocnego uścisku.

– To za kilka minut odgrzejesz, kochana żonko – stwierdził przerzucając ją sobie przez ramię jak szmacianą lalkę. Był od niej silniejszy. Właśnie ta siła, wysportowana sylwetka, ciemnoniebieskie oczy i promienny uśmiech na opalonej twarzy kiedyś ją zafascynowały. Gdyby wtedy wiedziała, jak ogromna przepaść dzieli wygląd od charakteru, teraz nie czułaby się niczym pluszowa maskotka pomiatana przez rozkapryszone dziecko. Dagmara nie protestowała. Doskonale wiedziała, że to niewiele pomoże, a jedynie jeszcze bardziej go rozjuszy. Poczuła, jak spada na materac łóżka. Adam rozpiął spodnie i złapał ją za głowę.

– Proszę nie, wiesz, że tego nie lubię – zaczęła błagalnym tonem.

– Ale ja to uwielbiam – oznajmił, policzkując ją kilka razy otwartą dłonią.

Kwadrans później leżała poniżona w skotłowanej pościeli.

– Gdybyś była bardziej nowoczesna, to nie musiałbym ci przyłożyć – oświadczył, wychodząc z sypialni. – Idę wziąć kąpiel, a jak skończę, to chcę mieć gorący obiad na stole – zażądał, zamykając za sobą drzwi łazienki.

Chciała płakać, ale łzy już dawno wyschły w jej oczach. Pragnęła wolności, ale nie wiedziała, jak opuścić więzienne mury własnego domu. Wtedy coś w niej pękło. Jakby strach paraliżujący wszystkie jej moralne blokady ustąpił nagle i niespodziewanie. W odruchu odwagi, desperacji i nadziei, postanowiła skończyć z tym wszystkim raz na zawsze. Przeszła do kuchni, przygotowała mężowi obiad. Potem wyciągnęła z szuflady długi ostry nóż z drewnianą rękojeścią i schowała na parapecie za firanką. W sądzie zezna, że zrobiła to w samoobronie. Może nawet odsiedzi kilka lat, ale nareszcie będzie wolna. Adam wyszedł z łazienki w grubym zielonym szlafroku. Spojrzał krytycznym wzrokiem na stół.

– Ty, kochanie, wiesz, jak należy spełniać moje zachcianki kulinarne – pokiwał głową z aprobatą. – Ale jestem facetem, a każdy facet nie tylko w kuchni lubi urozmaicenie – dodał, siadając przy stole.

Dagmara widziała zaczerwieniony umięśniony kark mężczyzny, który od czterech lat był jej mężem i tyranem. Pewnie w szpitalu, gdzie pracował jako ordynator, nikt nie wiedział, jaki jest naprawdę. Ona go znała i wiedziała, że nigdy się nie zmieni. Wsunęła dłoń za firankę, namacała twardą, gładką rękojeść i zacisnęła na niej palce. Wystarczyło przeciąć aortę, a w kilka minut będzie po wszystkim. Żeby tego nie oglądać, ucieknie z domu i zadzwoni na policję. Od upragnionej wolności dzieliło ją kilka minut i jakiś metr. Właśnie wtedy poczuła, jak jakaś wewnętrzna niechciana siła blokuje jej zamiary. Dotarło do niej, że nie będzie w stanie tego zrobić. Zwolniła uścisk na rękojeści noża i zrezygnowana poszła do łazienki. Spojrzała w lustro. Kilka zaczerwienionych śladów na policzkach jutro zmieni się w sine plamy. Wiedziała, jak je maskować, ale nie potrafiła zapudrować blizn, które szpeciły jej serce.

Następnego dnia nawet szczelnie zaciągnięte rolety nie zdołały ukryć bałaganu, jaki panował w sypialni. Tym razem niespecjalnie ją to martwiło. Do leżącej na łóżku walizki zapakowała ostatnie kilka rzeczy, jakie jej zdaniem powinna zabrać z tego miejsca. Nie chciała brać wszystkiego. Podejrzewała, że nawet tak zwyczajna rzecz jak sukienka mogłaby przypominać przeszłość, o której postanowiła zapomnieć, od której zamierzała uciec i która z pewnością będzie ją ścigać. Już kilka razy wyprowadzała się od męża. Jednak on zawsze potrafił ją odszukać i zmusić do powrotu. Tym razem postanowiła na dobre opuścić Wrocław z wszystkimi tego konsekwencjami. Świadomie rujnowała

zawodową karierę, wiedząc, że drugiej takiej szansy nie będzie już w życiu miała. Jeszcze przed pakowaniem wysłała wypowiedzenie na osobisty adres e-mailowy dyrektora z krótkim wyjaśnieniem, że robi to z ważnych powodów osobistych. Zaciągnęła suwak w torbie i zaniosła ją do przedpokoju, gdzie stały już dwie inne. Po raz ostatni weszła do kuchni, usiadła przy stole. Żółtym długopisem nakreśliła na kartce kilka zdań.

Adam, tym razem odchodzę na dobre. Nie szukaj mnie i nie próbuj zmusić do powrotu. Nie chcę od ciebie zupełnie nic. Zabieram jedynie samochód.

Obok kartki położyła klucze od mieszkania. Zamykając za sobą drzwi, poczuła ogromną lekkość. Przywołała windę, która na szczęście była pusta. Wpakowała do środka trzy ciężkie torby i zjechała do podziemnego garażu. Bez większego smutku opuszczała miasto, które miało być jej rajem na ziemi, a stało się piekłem.

Ruch na ulicach nie był zbyt wielki. Czerwcowe słońce co jakiś czas chowało się za wolno sunącymi popielatymi chmurami. Na stacji benzynowej zatankowała do pełna, kupiła dwa kubki mocnej kawy i ruszyła w drogę. Przez pół nocy rozmyślała nad miejscem, gdzie powinna zacząć od nowa swoje życie. Brała pod uwagę inne wielkie miasta, tam bez trudu znajdzie pracę i będzie się czuła bezpiecznie. Jednak po rozważeniu wszystkich za i przeciw postanowiła jakiś czas przeczekać w miejscu, gdzie mieszkali życzliwi jej

ludzie. Wracała do korzeni, do miejsca, z którego jeszcze kilkanaście lat temu chciała uciec za wszelką cenę. Gdyby wtedy wiedziała, jak wysoka będzie to cena, zakopałaby marzenia w ogródku i posadziła na nich krzew róży. Jechała bez przerwy ponad cztery godziny, planując swoją przyszłość i chcąc zapomnieć przeszłość. Obiad zjadła w przydrożnej restauracji. Czekając, aż kelner przyniesie rachunek, zadzwoniła do swojej siostry.

– Hej Dagmara, coś długo nie dawałaś znaku życia – powitała ją siostra z wyrzutem.

– Jakoś tak wyszło, że nie miałam czasu. Sporo pracy – próbowała tłumaczyć swoje milczenie. – Marzena, mogę do ciebie przyjechać na kilka dni? – nawet, jeżeli prośba była zaskakująca, siostra nie dała tego po sobie poznać.

– No jasne, a kiedy przyjedziesz?

– Będę za jakieś trzy godziny.

Tym razem Marzena nie ukrywała zaskoczenia:

– Dagmara, czy coś się stało?

Może gdyby nie siedzący przy sąsiednich stolikach ludzie powiedziałaby wszystko. Ale opowiadanie o ostatnich kilkunastu godzinach życia w obecności kogoś obcego nie było niczym przyjemnym.

– Jak przyjadę, wszystko ci opowiem – obiecała i zakończyła rozmowę.

Pierwszy raz Adam zadzwonił kilka minut po szesnastej. Właśnie dojeżdżała do Torunia. Zignorowała dzwonek telefonu i jechała dalej. Jednak on nie dawał za wygraną. W końcu zjechała na przydrożny parking i odebrała telefon.

– Dagmara, gdzie ty do cholery jesteś i co do kurwy nędzy ma znaczyć ta pierdolona kartka?

– Adam, to już koniec – oświadczyła zdecydowanym głosem. – Tym razem odchodzę na zawsze i nie ma takiej siły, która by mnie zmusiła do… – Nie pozwolił jej dokończyć.

– Masz przestać wygadywać te pierdolone bzdury i wracać do domu! – wykrzyczał w słuchawkę. – I jakim prawem zabrałaś mój samochód?

– Po pierwsze, to nie twój, ale mój samochód i potwierdzają to dokumenty. Po drugie, musisz sobie poszukać innej głupiej, która będzie znosiła twoją tyranie. A po trzecie, odpierdol się ode mnie.

Cały czas pilnowała siebie, żeby nie zacząć krzyczeć. Nie miała zamiaru dać mu satysfakcji z wyprowadzenia jej z równowagi. Nie zwracając uwagi na jego dalsze wrzaski, zakończyła połączenie, wyłączyła telefon i cisnęła nim przez uchylone okno w rosnące nieopodal krzaki. Opuściła parking z dziwnym uczuciem, którego od dawna nie zaznała. Była wolna, a miejsce strachu, który przez ostatnie kilka lat odmierzał jej życie niczym koszmarny zegar, zastąpił spokój. W Toruniu wypiła popołudniową kawę, odwiedziła miejsca, tak dobrze znane ze studenckich czasów. Kupiła potężny zapas pierników i ruszyła w dalszą drogę. Miała jeszcze do pokonania sto trzydzieści kilometrów. Niebo barwiło się pomarańczową łuną nad przydrożnymi lasami, gdy minęła tablicę z napisem Prabuty.

Marzena mieszkała na oddalonym od centrum miasteczka osiedlu domków jednorodzinnych. Starsza od Dagmary o trzy lata, miała życie poukładane jak kolorowe puzzle bez żadnych brakujących elementów. Mąż, dwoje wspaniałych dzieciaków, satysfakcjonująca praca. Mimo że były siostrami, tak wiele je różniło. Marzeny nigdy nie ciągnęło do wielkiego świata. Wystarczał jej jeden fakultet, angielski znała tyle o ile. Kochała mały żółty domek na ulicy Lawendowej, gwar dzieciaków, ogród pełen barwnych i pachnących krzewów. Dagmara traktowała Prabuty jak prowincję, gdzie nie sposób realizować swoich marzeń i ambicji. Wybrała studia w Toruniu, później kolejne studia we Wrocławiu, gdzie poznała Adama. Teraz wracała do miejsca, z którego kilkanaście lat temu uciekła. Ten powrót traktowała jak przystanek na trasie do życia, o którym zawsze marzyła.

– Ale cię ten sukinsyn urządził – syknęła Marzena, lustrując twarz siostry. Dagmara próbowała zatuszować ostatnią pamiątkę po mężu. Ale przed bacznym wzrokiem Marzeny niewiele można było ukryć. Poza tym ona nigdy nie lubiła Adama. Zawsze powtarzała, że jest w nim coś złego i jak czas pokazał, miała rację.

– Tym razem nie zamierzam wracać. Za kilka dni występuję o rozwód – zapowiedziała Dagmara.

Siedziały na kamiennym tarasie za domem.

– Od początku uważałam, że to nie jest facet dla ciebie – przypomniała Marzena tonem, który nie pozostawiał wątpliwości o jej stosunku do Adama.

– Tak, wiem siostrzyczko. Nie powinnam robić jeszcze wielu innych rzeczy, a jednak je zrobiłam i czasu nie cofnę – westchnęła Dagmara zapatrzona w granatowe niebo roziskrzone tysiącami gwiazd.

Mimo potwornego zmęczenia nie mogła zasnąć. Usiadła na łóżku, zapaliła nocną lampkę. Z torebki wyjęła żółty długopis i oprawiony w brązową skórę notatnik. Do wszystkiego, co w życiu osiągnęła, doszła dzięki planowaniu każdego następnego kroku. Teraz też postanowiła użyć sprawdzonego schematu postępowania. Nakreślenie planu i konsekwencja w działaniu było tym, co prowadziło do osiągnięcia celu.

– Po pierwsze rozwód z Adamem – zapisała, dopisując w nawiasie priorytet. Drugim punktem było znalezienie pracy. Na trzecim miejscu znalazło się kupno mieszkania. Te dwa punkty wymagały głębszego zastanowienia. Musiała zdecydować, w jakim mieście rozpocznie nowy rozdział swojego życia. Pobyt u siostry miał być jedynie epizodem. Czwartym punktem jej planu był powrót do pasji, jaką było żeglowanie. Ostatnie miejsce na liście przypadło odnowieniu starych przyjaźni. Przez króciutką chwilę zastanawiała się nad zarezerwowaniem jakiegoś punktu dla miłości, ale nie wierzyła, że coś takiego naprawdę istnieje, przynajmniej w jej przypadku. Może to z nią było coś nie tak, skoro nie znalazła normalnego faceta, a potwora w ludzkiej skórze. Nie chcąc na nowo dopuścić do samoobwiniania, zamknęła notes, zgasiła lampkę i poszła spać.

Kilka następnych dni spędziła na wizytach w różnych kancelariach prawnych, szukając adwokata gotowego zająć się rozwodem. Najgorsze było to, że większość z nich nie do końca rozumiała jej oczekiwań. Chciała jedynie uwolnić się od Adama. Podczas gdy adwokaci chcieli jeszcze puścić go w przysłowiowych skarpetach. Wszyscy zgodnie twierdzili, że sprawa nie powinna być trudna. Nie mieli dzieci, nic nie wskazywało na możliwość dojścia do zgody. Po namyśle wybrała panią Kasię, prawniczkę z Malborka. Kobietę około pięćdziesiątki o ujmującym uśmiechu i umiejętności słuchania tego, co mówi klient.

Wracając do Prabut Dagmara zaczynała dostrzegać zmiany, na które podczas poprzednich wizyt u siostry nie zwracała uwagi. Miasta zapamiętane jako powiatowe mieściny teraz przypominały nowoczesne aglomeracje. Co prawda były to miniaturowe kopie metropolii, ale w takim Kwidzynie było już kilka miejsc oferujących dobrą kawę, powstawały centra handlowe, zabytki odzyskiwały dawny blask. Na rogatkach Kwidzyna zabrała autostopowiczkę jadącą do Prabut. Kobieta mogła mieć czterdzieści lat, krótkie blond włosy kontrastowały z ciemną karnacją. Ubrana w kolorowy T-shirt, dżinsowe rybaczki i lekkie skórzane sandałki wyglądała prawie młodzieżowo. Dagmara, niemająca problemów z nawiązywaniem kontaktów, zaczęła rozmowę od tematu, który nawet najtrwalszych milczków zmuszał do otwarcia ust, czyli o pogodzie. Po kilku minutach pogawędka zeszła na temat zmian, jakie Dagmara zaobserwowała.

– Wie Pani, to wszystko prawda – potwierdziła nieznajoma. – Ale uczciwie trzeba powiedzieć, że to jedynie ta śliczniejsza strona zmian. O tej brzydszej mało kto chce mówić. Rządzący myślą, że jak odnowią kilka kamienic, urządzą skwerek z placem zabaw i zorganizują parę festynów, to społeczeństwo będzie klaskać uszami z radości. Dwadzieścia procent ludzi nie ma pracy, dziesięć procent ludzi żyje na krawędzi przetrwania i to jest prawdziwe oblicze naszych miast i miasteczek.

Dagmara nie rozpatrywała zmian w takich kategoriach. Miała doskonałe wykształcenie, do tej pory idealną pracę. Na wspomnienie pracy przypomniała sobie mało przyjemną rozmowę z szefem, jaką odbyła następnego dnia po opuszczeniu Wrocławia. Teoretycznie za porzucenie pracy mogła zostać zwolniona dyscyplinarnie. Jedynie dzięki wiedzy i umiejętnościom szef zgodził się, aby zdalnie pomogła kolejnej osobie z listy awansowanych przejąć swoje, na dobre niezaczęte nawet obowiązki. Jednego szef nie omieszkał zaznaczyć, że dla niej już nie ma miejsca w korporacji.

– Jakoś nigdy nie patrzyłam na to w ten sposób. Może dlatego, że do niedawna mieszkałam we Wrocławiu i problem bezrobocia mnie nie dotyczył.

Pasażerka spojrzała na Dagmarę z wyraźnym politowaniem.

– Tu nie Wrocław i o pracę niełatwo.

Dagmara chciała odpowiedzieć, że na razie nie musi jej szukać, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język. Przecież

autostopowiczka najpewniej nie była w tak komfortowej sytuacji, a zaznaczanie, że problemy szukających pracy jej nie dotyczą, mogło zostać źle odebrane.

– Gdzie chce Pani wysiąść? – zapytała, dojeżdżając do Prabut.

– Jeśli to nie kłopot, to najlepiej gdzieś w centrum – poprosiła pasażerka.

Zaparkowała niedaleko ronda przy zamkniętej na głucho restauracji o nazwie „Jarzębina”. Lokal czasy świetności miał dawno za sobą. Gdy Dagmara opuszczała Prabuty kilkanaście lat temu, knajpka już świeciła pustkami. Autostopowiczka podziękowała za podwiezienie, życzyła miłego dnia i odeszła w kierunku pobliskiego osiedla bloków.

– Marzena, nie wiesz, czy w Prabutach nie ma jakiegoś mieszkania do wynajęcia? – zapytała, pijąc popołudniową kawę. – Nie mogę przecież tyle czasu siedzieć wam na karku – siostra obrzuciła ją takim spojrzeniem, że Dagmara aż pożałowała pytania.

– Możesz u nas mieszkać tak długo jak chcesz i nie chcę więcej słyszeć podobnych pytań. Dom jest duży, dzieci cię lubią. A poza tym samotność źle wpływa na kobiety będące w trakcie rozwodu. Tak masz mnie i zawsze możesz powiedzieć, co ci leży na sercu.

Dagmara podniosła ręce w geście kapitulacji. Poza tym siostra miała sporo racji. Wspólne posiłki, zabawy z dziećmi czy wyjazdy do kina sprawiały, że miała niewiele czasu na rozpamiętywanie przeszłości. Mimo to perspektywa

mieszkania u Marzeny przez następnych kilka miesięcy, aż do zakończenia sprawy rozwodowej, nie bardzo się Dagmarze uśmiechała. Miała nawet powiedzieć o tym, gdy ich rozmowę przerwał dzwonek do drzwi. Marzena poszła otworzyć. Były w domu same. Tomek, mąż Marzeny, zabrał dzieciaki nad jezioro.

– O cześć Elu – usłyszała głos siostry witającej gościa. Jakież było zdziwienie Dagmary, gdy na taras weszła kobieta, którą kilka dni temu zabrała na stopa. Tym razem wyglądała zupełnie inaczej. Bawełnianą koszulkę i dżinsy zamieniła na bladożółtą zwiewną sukienkę.

– Elu, to jest moja siostra.

– My, jakby to powiedzieć, już prawie się znamy – wtrąciła Dagmara, przerywając siostrze rytuał prezentacji. Wstała i podała Eli rękę na powitanie. – Jestem Dagmara, a nasze kolejne spotkanie potwierdza jedynie opinię o niewielkich wymiarach świata. Ela odwzajemniła uśmiech. Uścisk jej delikatnej dłoni był mocny i zdecydowany, prawie jak u mężczyzny.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że poznałaś Elę – zapytała Marzena z lekkim wyrzutem.

– Dagmara zabrała mnie kilka dni temu na stopa jak wracałam z Kwidzyna – wyjaśniła Ela, siadając na wiklinowej sofie.

– Ela jest przykładem, że nie ma rzeczy niemożliwych. To taki motor napędzający lokalną społeczność do działania. Kogoś, kto z taką determinacją szuka pracy, nie spotkałam

jeszcze w naszym pośredniaku. Teraz próbuje zebrać grono ludzi gotowych założyć spółdzielnię socjalną w Prabutach.

Dagmara z nieukrywanym podziwem słuchała tego, co o Eli mówiła Marzena. Zawsze podziwiała ludzi z inicjatywą, pełnych energii do działania. Tacy ludzie byli niestety rzadkością. Nawet w jej dawnej pracy większość narzekała, mimo że mieli dobrą posadę.

– Ja właśnie do ciebie, Marzenko, w sprawie spółdzielni – przerwała Ela najwyraźniej speszona komplementami pod swoim adresem.

Dagmara przeprosiła i wymknęła się na rowerową przejażdżkę. Od siostry słyszała, że jest nowa ścieżka rowerowa, którą można dojechać do oddalonej o pięć kilometrów wsi. Popołudnie było ciepłe, ale nie upalne. Jechała wolnym tempem obserwując, jakie zmiany zaszły w Prabutach. Prawdę mówiąc podczas dotychczasowych licznych odwiedzin u siostry nie zwracała na to uwagi. Niedaleko jej dawnej szkoły podstawowej, gdzie jeszcze kilka lat temu rosło zboże, powstało osiedle domów jednorodzinnych. Zakład produkujący ozdoby choinkowe, w którym jej mama pracowała całe swoje życie, straszył wybitymi szybami. Po dwudziestu minutach jazdy dotarła do jednego z wielu jezior, jakie były w okolicy. Jako dziecko bardzo często spędzała tu upalne wakacyjne dni. Teraz, po kilkunastu latach, z rozrzewnieniem wspominała tamte czasy. To właśnie nad tym jeziorem po raz pierwszy całowała się z chłopakiem. Miała wtedy czternaście lat. On był o rok starszy. Miał na imię Cyprian i doskonale tańczył.

Niestety z Cyprianem skończyło się na dwóch randkach. Była ciekawa, co on teraz robi. Czy założył rodzinę i nadal mieszka w Prabutach, a może tak jak ona wyjechał do wielkiego miasta, albo nawet do innego kraju? Samo otoczenie jeziora też uległo zmianie. Zamontowano drewniany pomost, zbudowano parking. Ścieżka rowerowa zaczynała się przy starym moście. Poprowadzono ją nasypem nieczynnej od kilkudziesięciu lat linii kolejowej. Jechało się dość wygodnie. Droga była utwardzona. Choć tu i ówdzie wyrastające z podłoża chwasty wskazywały, że niewielu ludzi z niej korzystało. Potwierdzeniem tych obserwacji był fakt, że podczas jazdy nie spotkała nikogo.

Po powrocie do siostry zaszyła się w swoim pokoiku z nową książką. Teraz miała dużo czasu na czytanie. Lektury, niekoniecznie ambitne, pozwalały zabić nudę, która coraz wyraźniej dawała o sobie znać. Sprawa rozwodowa niemiłosiernie się wlekła. A może to ona miała zbyt optymistyczne wyobrażenia w tej kwestii. Przecież od momentu opuszczenia Wrocławia minął niecały miesiąc.

Po skończeniu kolejnego rozdziału odłożyła książkę i wyjęła z torebki notes oraz żółty długopis. Zastanawiała się, czy do planu, który sobie wymyśliła zaraz po przyjeździe do Prabut, nie wprowadzić zmian. Może zamiast czekać na rozwód już teraz powinna rozpocząć poszukiwanie pracy? Co prawda jej sytuacja finansowa była bardziej niż dobra. Siostra nawet słyszeć nie chciała, żeby Dagmara dokładała się do jedzenia czy mediów. Po godzinie

przemyśleń i analizowania wszystkich ewentualnych możliwości postanowiła, że zacznie przeglądać oferty pracy.

Następne dni pokazały jednak, że nawet mimo doskonałych kwalifikacji na lokalnym rynku pracy nie było ofert w jej zawodzie. Mimo to wysłała kilka aplikacji na inne stanowiska. Jedna z Kwidzyńskich firm zaprosiła ją nawet na rozmowę. Cóż z tego, skoro pracownica działu personalnego powiedziała wprost, że jej kwalifikacje są za wysokie. Potwierdziła to również Marzena, którą zagadnęła pewnego dnia przy popołudniowej kawie.

– Wiesz, gdybyś była krawcową, murarzem, spawaczem, to znalazłabym ci jakieś oferty, ale w naszym biurze nie spotkałam się jeszcze z ofertą zatrudnienia specjalisty do spraw rekrutacji międzynarodowej.

Słowa siostry uświadomiły Dagmarze, że jeżeli poważnie chce myśleć o pracy w swoim zawodzie, to musi jak najszybciej opuścić Prabuty.

– Czekaj, czekaj, chyba znajdę dla ciebie zajęcie – oznajmiła Marzena z zagadkowym uśmiechem. – Co prawda nie będzie to dokładnie to, co robiłaś w korporacji, ale może ci się spodobać.

Po tych słowach zniknęła w domu. Wróciła po kilku minutach z jeszcze bardziej tajemniczą miną.

– Pamiętasz Elę. Poznałaś ją u mnie jakiś czas temu – Dagmara spojrzała na siostrę ze zdziwieniem. Co osoba, która sama była bezrobotna, miała wspólnego ze znalezieniem pracy dla niej. – Ela próbuje założyć w Prabutach spółdzielnię socjalną. Ma gotowy pomysł. Na

marginesie powiem, że bardzo dobry. Znalazła odpowiedni lokal, ale brakuje jej ludzi. Może ty jej pomożesz? Masz przecież doświadczenie w takich sprawach.

Propozycja siostry była dla Dagmary kompletnym zaskoczeniem.

– Marzena, ja zajmowałam się rekrutacją na zupełnie innym poziomie. Szukałam ludzi z określonym, często bardzo specjalistycznym wykształceniem i doświadczeniem. Nie wiem, czy moje umiejętności sprawdzą się w poszukiwaniu chętnych do założenia spółdzielni socjalnej. A co to właściwie jest ta spółdzielnia? Jakoś nigdy o czymś takim nie słyszałam.

Marzena spojrzała na Dagmarę z pewnym niedowierzaniem. Jakby chciała zapytać: „Ty nigdy nie słyszałaś o spółdzielni socjalnej?”.

– Wiesz, spółdzielnia socjalna to taka instytucja, która zrzesza osoby mające trudności z podjęciem pracy. Członkowie spółdzielni wspólnie prowadzą działalność gospodarczą.

Przez bite dwie godziny Marzena referowała wszystko, co wiedziała o zakładaniu i prowadzeniu spółdzielni socjalnych. Mimo że Dagmara miała bardzo bystry i chłonny umysł, pod koniec wykładu trochę się w tym wszystkim pogubiła.

– Czyli w wielkim skrócie chodzi o to, żebym znalazła alkoholika, bezrobotnego, bezdomnego, więźnia po odsiadce, uchodźcę, niepełnosprawnego i z tych wszystkich ludzi stworzyła zgraną drużynę, która będzie prowadziła

firmę? – podsumowała Dagmara, uznając pomysł siostry za szalony.

– Może nie do końca tak, ale coś w tym stylu – potwierdziła Marzena.

– Wiesz siostrzyczko, ja chyba się do tego nie nadaję – oznajmiła Dagmara.

– A to niby czemu? Masz wiedzę o rekrutacji, potrafisz rozmawiać z ludźmi, więc o co chodzi? – zdziwiła się Marzena.

– Jak niby mam ich szukać? Będę chodziła po ulicach i zaczepiała wszystkich, którzy moim zdaniem reprezentują którąś z wymienionych już grup społecznych?

– Wcale nie, poszukamy w ewidencji bezrobotnych, popytamy w stowarzyszeniach zrzeszających niepełnosprawnych. Odwiedzimy domy dla bezdomnych oraz placówki, gdzie mieszkają uchodźcy – wyjaśniła siostra.

Do tej pory Dagmara rekrutowała ludzi w zupełnie inny sposób i w innych grupach społecznych.

– Marzena, nie wiem, czy będę umiała rozmawiać z bezrobotnym, bezdomnym, niepełnosprawnym albo człowiekiem z innej części świata.

– Ale mogłabyś chociaż spróbować – poprosiła siostra. – Z mojej strony możesz liczyć na każdą pomoc – zapewniła.

– Niczego nie obiecuję, ale masz moje słowo, że poważnie rozważę twoją propozycję – powiedziała Dagmara, dopijając kawę.

Dagmara siedziała na zdezelowanym krześle w obskurnym wnętrzu dawnej restauracji. Ściany nosiły widoczne ślady wielu najemców. Pomysł, aby ten dawno zapomniany obiekt na nowo ożywić i wpisać w mizerną sieć prabuckiej sieci gastronomicznej wydawał się szaleństwem. Jednak zapał i energia Eli sprawiły, że uwierzyła w pomysł, który wszyscy wokół uważali za zwariowany. Wiara w powodzenie ugruntowała się jeszcze bardziej, gdy w dwa tygodnie od chwili poszukiwania osób, które miały założyć spółdzielnię socjalną, znalazły czterech podobnych szaleńców. Nawet nie wiedziała, kiedy organizacja spółdzielni wciągnęła ją na dobre. Plan zapisany w notatniku żółtym długopisem został zmodyfikowany. Pozycja „poszukiwanie pracy” musiała ustąpić pierwszeństwa punktowi „organizacja spółdzielni socjalnej”. Kilkanaście kolejnych kartek notatnika zajmowały zapiski z pomysłami na uruchomienie lokalu. W trakcie niezliczonych godzin, jakie spędzała na rozmowach z Elą, obie doszły do wniosku, że nie może to być typowa restauracja. Takie już w Prabutach próbowano otwierać, jednak bez większego powodzenia. Obmyśliły dokładnie, co chciałyby stworzyć w miejscu, które dla wielu Prabucian było zapomnianym symbolem miasta. Dzisiejszego popołudnia miało się odbyć spotkanie wszystkich, którzy deklarowali chęć przystąpienia do spółdzielni. Rozmyślania Dagmary przerwało wejście Eli.

– Jeszcze nikogo nie ma? – zdziwiła się, lustrując pomieszczenie.

– Na razie nie, ale miejmy nadzieję, że przyjdą. – Odpowiedź Dagmary chyba uspokoiła Elę.

– Miejmy nadzieję, że masz rację, bo jeżeli nie, to z naszych pomysłów klapa.

Jakby na potwierdzenie tego, co przed chwilą powiedziała Dagmara, do lokalu weszła pani Antonina. Już na pierwszy rzut oka przypominała stereotypową kucharkę. Odpowiednie proporcję ciała, pulchna, rumiana twarz z niebieskimi, stanowczymi i groźnie patrzącymi oczami. Ktoś taki był potrzebny. Prawie trzydzieści lat w różnych kuchniach stanowiło najlepsze referencje.

– No, najlepiej to nie wygląda – oceniła pomieszczenie Pani Antonina, rozglądając się po wnętrzu.

– Pani Antonino, za kilka tygodni będzie tu zupełnie inaczej – zapewniła Dagmara.

Z wszystkich osób deklarujących chęć wstąpienia do spółdzielni pani Antoninie najbardziej na tym zależało. Do emerytury brakowało jej zaledwie siedmiu lat, a dla takich znalezienie pracy graniczyło wręcz z cudem. Po pani Antoninie przyszła Karina i jej mąż Piotrek. Oboje nie mieli jeszcze trzydziestki. Ona po studiach pedagogicznych bezskutecznie poszukiwała pracy. On był zawodowym kierowcą. Do chwili wypadku jeździł tirami do Francji i Niemiec. Wracając z kolejnego kursu zderzył się czołowo z innym tirem. Kierowca tamtego zasnął za kierownicą. Piotr cztery miesiące spędził w gipsie od kostek po szyję. Pamiątką po wypadku był niedowład lewej nogi i mizerna renta inwalidzka. Oni również zlustrowali lokal krytycznymi

spojrzeniami, jednak pozostawili to bez komentarza. Dagmara z niepokojem zerknęła na zegarek. Było kilka minut po szesnastej. Brakowało jeszcze jednej osoby. Ela również okazywała zaniepokojenie. Pan Jurek był z całej poznanej czwórki najbardziej dziwnym i tajemniczym człowiekiem. Miał czterdzieści dwa lata, z czego prawie dwadzieścia spędził w różnych stronach świata jako żołnierz misji pokojowych. Z tego, co powiedział Dagmarze, kilka lat był również w Iraku i Afganistanie. Dobrze wiedziała, że to z pewnością nie były misje pokojowe. Odszedł ze służby na własną prośbę i od dwóch lat poszukiwał pracy. Ale jej zawodowe doświadczenie podpowiadało, że nie była to pilna potrzeba. Trochę więcej o Jurku powiedziała Marzena. Kilka miesięcy po powrocie Jurek rozwiódł się z żoną, która podobno specjalnie nie była mu wierna, gdy on przebywał za granicą. Ludzie mówili o nim „dziwak”. Potrafił całymi dniami pielęgnować przydomowy ogród. Nie miał właściwie żadnych bliższych znajomych.

– To chyba będziemy zaczynać – oznajmiła Ela, wstając z krzesła. – Co prawda miała do nas dołączyć jeszcze jedna osoba, ale nie będziemy już dłużej czekać. Mnie już Państwo znają, podobnie jak panią Dagmarę. Podczas naszych indywidualnych rozmów przekazaliśmy, co zamierzamy stworzyć i to z Państwa czynnym udziałem. Tylko wtedy, gdy wszyscy zaangażujemy się w działalność spółdzielni, będzie szansa na osiągnięcie sukcesu. Pomysł

jest taki, aby urządzić tu lokal, jednak nie będzie to taka zwyczajna restauracja, ale szczegóły opowie już koleżanka.

Dagmara wstała, trzymając w jednej ręce otwarty notatnik, a w drugiej żółty długopis. Spojrzała na ludzi, którzy mieli nadzieję na zmianę swojego losu. Wiedziała, że to, co ma do zaproponowania niekoniecznie przypadnie im do gustu. Mieszkańcy małych miasteczek raczej z dystansem podchodzili do nowości. Pomysł opracowany wspólnie z Elą był czymś więcej niż nowością, był rewolucją. Podobnego lokalu nie było w promieniu stu kilometrów.

– Szanowni Państwo, chcemy zaproponować pomysł na zagospodarowanie tego miejsca. Jak sami Państwo widzą, teraz nie wygląda to specjalnie dobrze.

– Teraz to zupełna ruina – wtrąciła pani Antonina.

– Jednak wierzę, że przy naszym wspólnym zaangażowaniu stworzymy tu coś wyjątkowego – kontynuowała Dagmara.

– To powie nam Pani wreszcie, co tu ma być? – przerwała ponownie pani Antonina z wyraźnym zniecierpliwieniem.

– Już przedstawiam szczegóły – zapewniła Dagmara, przewracając kilka kartek w notatniku. – Zamierzenie jest takie, aby urządzić w tym miejscu lokal, który będzie miał kilka funkcji. Po pierwsze, będzie tu kawiarnio-bistro. Brakuje w Prabutach lokalu, gdzie można się napić dobrej kawy. Zdajemy jednak sobie sprawę, że sama kawiarnia nie ma racji bytu. Dlatego będziemy serwować przekąski

w formie kanapek. Mamy nadzieję zainteresować tą ofertą kierowców podróżujących przez nasze miasto. Jeżeli możliwości techniczne pozwolą, zrobimy stanowisko dla samochodów. Dzięki temu kierowca nie będzie musiał marnować czasu na parkowanie. Podjeżdża do okienka, zamawia kawę, kanapki, płaci, odbiera i jedzie dalej. Kolejna funkcja lokalu to punkt prasowo-książkowy. Będzie można u nas nabyć prasę codzienną i kolorową. Klienci, którzy zamówią kawę, będą na miejscu mieli bezpłatny dostęp do wszystkich oferowanych czasopism – Dagmara próbowała wyczytać z twarzy obecnych na sali, co sądzą o projekcie, który z takim trudem stworzyły. Pierwsza zabrała głos pani Antonina.

– Normalnie jakbym oglądała tę babę z kuchennych rewolucji. Tu będzie to, będziecie serwować to, sala będzie wyglądała tak. Mam nadzieję, że do tego, co usłyszałam, można wnosić poprawki, bo w tym kształcie to wcale, ale to wcale mi się nie podoba.

Dagmara zareagowała niemal natychmiast.

– Oczywiście, Pani Antonino, to jest tylko projekt i chciałabym, abyśmy wspólnie go dopracowali.

– No to rozumiem – oznajmiła pani Antonina, spoglądając na Dagmarę i Elę z wyższością osoby, która, co jak co, ale na gastronomii znała się jak nikt.

– Jak myślisz, czy uda się pogodzić oczekiwania wszystkich? – zapytała Dagmara, gdy zostały już same.

– Tego nie wiem, ale musimy spróbować – oznajmiła twardo Ela. – Najbardziej martwi mnie pani Antonina, która

najchętniej wszystkich nas porozstawiałaby po kątach jak przedszkolaków – westchnęła, przewidując kłopoty. Dagmara miała podobne odczucia, ale wierzyła, że i z panią Antoniną dojdą do porozumienia. Bardziej martwiła ją nieobecność Jurka.

– Nie wiesz, czemu Jurek nie przyszedł?

Ela tylko wzruszyła ramionami. Ale po chwili dodała wyjaśniająco:

– To bardzo dziwny człowiek. Czasami zastanawiam się, czy te wszystkie przeżycia wojskowe nie skrzywiły jego psychiki.

– Dagmara, podczas rozmowy z panem Jurkiem, nie odniosła takiego wrażenia. Owszem, wydał się jej nieco wycofany i nieśmiały, ale nic poza tym. Jednak ona spotkała się z nim tylko raz, a Ela, mieszkająca w Prabutach, znała go niemal od dziecka. Z tego, co wspominała, chodzili nawet do jednej szkoły, tyle że on kilka klas wyżej.

– Jutro pojadę do niego i zapytam, czy nadal chce wstąpić do spółdzielni – oznajmiła Dagmara, gdy zamykały lokal.

– Na twoim miejscu nie nastawiałabym się na sukces – ostrzegła ją Ela.

Zaparkowała samochód obok starego domu z czerwonej cegły. Zielony winobluszcz pnący się po jednej ze ścian sięgał prawie dachu. Sierpniowe słońce rozjaśniało ciemnobrązowe dachówki. Dagmara wysiadła, podeszła do drewnianej furtki i nacisnęła przycisk domofonu. Po

kolejnych kilku minutach nacisnęła ponownie, jednak bez rezultatu.

„Najprawdopodobniej pana Jurka nie było w domu” – pomyślała, wracając do auta.

W ciągu następnych kilku dni ponawiała wizyty, ale bez powodzenia.

Mimo licznych zastrzeżeń ze strony pani Antoniny, docelowy projekt lokalu coraz bardziej nabierał realnych kształtów. Największe weto pani Antonina wniosła podczas omawiania nazwy. Według niej powinna zostać „Jarzębina”.

– Od zawsze była to „Jarzębina”, ludzie są do tej nazwy przyzwyczajeni – grzmiała Pani Antonina niczym ksiądz z ambony.

Ela i Dagmara zaproponowały nazwę „Café Rondo”. Po pierwsze, lokal znajdował się przy rondzie, a po drugie, jego specjalnością miała być wyśmienita kawa.

– To może od razu Café kapelusz – prychnęła ze złością pani Antonina.

Sytuacja zdawała się bez wyjścia, aż pan Piotr zasugerował głosowanie. Ponieważ wszyscy przystali na ten pomysł, pani Antonina nie miała wyboru.

Głosowanie przesądziło o nazwie lokalu.

– Zamówić szyld „Café Rondo” – zanotowała Dagmara żółtym długopisem w swoim notatniku.

Pod koniec sierpnia wszystkie formalności związane z utworzeniem spółdzielni socjalnej zostały zakończone i można było zabrać się do pracy wewnątrz lokalu. Mimo że Piotr deklarował samodzielne wykonanie prac murarskich,

hydraulicznych i elektrycznych, brakowało dodatkowych męskich rąk do pomocy. Dagmara nie ustawała w odwiedzinach u pana Jurka i pewnego dnia jej upór został nagrodzony. W głośniku domofonu usłyszała mało przyjemne:

– Słucham?

– Dzień dobry panie Jurku, tutaj Dagmara, rozmawialiśmy kilka tygodni temu o spółdzielni socjalnej. Czy mogłabym z panem zamienić kilka słów?

Nastąpiła cisza przerwana niezapowiedzianym dźwiękiem otwieranego rygla. Dagmara pchnęła drewnianą furtkę i ruszyła do drzwi ścieżką z granitowej nierównej kostki. Pan Jurek ubrany w wypłowiałe dżinsowe spodnie, czarną koszulkę polo i niebieskie trampki niedbałym gestem zaprosił ją do środka. Gospodarz zaprowadził ją do kuchni.

– Już prędzej próbowałam pana złapać – zaczęła, siadając przy drewnianym prostokątnym stole.

– Mnie ciężko zastać – odpowiedział mężczyzna tonem dającym do zrozumienia, że ta wizyta nie jest dla niego specjalnie przyjemna.

– Chodzi o to, że podczas naszej pierwszej rozmowy był pan żywo zainteresowany udziałem w tworzeniu i prowadzeniu spółdzielni, natomiast nie było pana na żadnym spotkaniu organizacyjnym.

Gospodarz zrobił skruszoną minę i bezradnie rozłożył ręce.

– Jakoś tak wyszło, że zapomniałem – dodał przepraszająco. – Jestem natomiast pewien, że i bez mojej osoby świetnie państwo sobie poradzili.

Przeczuwając zamiary pana Jurka, Dagmara postanowiła działać od razu.

– Gdyby tak było, to nie nachodziłabym pana. Nie ukrywam, że potrzebujemy pana. Jest wiele prac do wykonania, przy których niezbędna jest męska ręka – wyjaśniła, opisując w kilku zdaniach zakres prac do wykonania.

– Wie pani, szczerze mówiąc nie bardzo się widzę w tym przedsięwzięciu. Wiem, że wyraziłem zgodę, ale po dokładniejszym zastanowieniu doszedłem do wniosku, że zabawa w restaurację to nie dla mnie.

Dagmara słuchała i coraz bardziej zaczynała wątpić w swoją ocenę tego człowieka. Pewnie Ela miała rację, że pan Jurek żyje w swoim małym prywatnym świecie, do którego nikt nie ma wstępu. Postanowiła jednak zastosować metodę małych kroków.

– Dobrze, rozumiem, ale mam prośbę. Czy mógłby nam pan pomóc w remoncie i przygotowaniu lokalu do otwarcia?

Pan Jurek bardzo długo zwlekał z odpowiedzią. Dagmara zaczęła podejrzewać, że tym razem to on przejrzał jej plan.

– Bardzo proszę. Dzięki pana pomocy zdążymy wszystko uruchomić zgodnie z planem.

Jej prawie błagalny ton przyniósł pożądany rezultat.

– Dobrze, pomogę pani – zapewnił gospodarz, wstając od stołu. Dagmara, uznając swoją misję za zakończoną, również wstała.

– Jeżeli to panu nie będzie przeszkadzało, to podjechałabym jutro z wykazem tego, co trzeba zrobić, a pan doradziłby nam w kwestiach technicznych.

Na wieść, że pan Jurek zadeklarował swoją pomoc w remoncie, Ela nie kryła zdziwienia.

– Jak tego dokonałaś?

– Mam swoje sposoby – odpowiedziała enigmatycznie Dagmara, po czym szybko zmieniła temat rozmowy. Bała się, że i tym razem pan Jurek znajdzie jakiś wykręt.

– To przynajmniej jedna pozytywna wiadomość – oznajmiła Ela, szukając czegoś na zaimprowizowanym biurku w kącie remontowanego lokalu. Po chwili wyjęła z podłużnej koperty zapisaną kartkę. Dagmara przebiegła wzrokiem po kilkunastu linijkach tekstu. Spojrzała na Elę pytającym wzrokiem.

– A co ma konserwator zabytków do naszego lokalu? – zapytała zdziwiona.

– Jak widać, ma – stwierdziła Ela zrezygnowanym tonem. – Budynek wybudowano przed rokiem 1945, a to oznacza, że zgodnie z prawem jest zabytkiem i wszystkie remonty w tego typu budynkach powinno się konsultować z konserwatorem.

Wyjaśnienia Eli wróżyły kłopoty. Najprawdopodobniej będą musiały zmienić wykonany już projekt. To oznaczało dodatkowe koszty, ale przede wszystkim opóźnienie

w otwarciu lokalu. O ile pieniądze udałoby się wygospodarować, to przesunięcie terminu otwarcia komplikowało cały misternie obmyślony plan.

– Słuchaj, a może pojedziemy do tego konserwatora i spróbujemy z nim porozmawiać? Nic nie stracimy poza czasem, ale tego akurat nam nie brakuje – zaproponowała Dagmara, wiedząc z doświadczenia, że osobista rozmowa z urzędnikiem może wiele zdziałać.

– A wiesz, że to niegłupi pomysł – podchwyciła Ela.

Dagmara jeszcze raz przeczytała pismo. Gdy doszła do podpisu, na który wcześniej nie zwróciła uwagi, lekko się uśmiechnęła.

– No proszę, proszę i kto by podejrzewał – pomyślała, wpisując żółtym długopisem do noszącego ślady intensywnego użytkowania notatnika numer telefonu z nagłówka pisma. Nie dalej niż kilka tygodni wcześniej zastanawiało ją, co robi pewien facet, z którym kiedyś całowała się nad jeziorem. A tu okazało się, że jest on teraz powiatowym konserwatorem zabytków. Tylko czy po tylu latach będzie ją pamiętał?

Cyprian nie przypominał tego chłopaka z lat szkolnych. Zmężniał i co nie umknęło uwadze Dagmary, musiał sporo czasu spędzać na siłowni. W odróżnieniu od dotychczas spotkanych urzędników, ubierał się mniej oficjalnie. Czarne bojówki, koszula w niebiesko-biało-zieloną kratkę o sportowym kroju. Na serdecznym palcu prawej dłoni widać było ślad po obrączce. Tak jak Dagmara podejrzewała, wcale jej nie skojarzył z dziewczyną, którą

kiedyś całował. Może gdyby podała panieńskie nazwisko, coś by mu zaświtało. Ona też nie powiedziała, że go zna. Tę przyjemność zostawiła sobie na koniec spotkania. Cyprian bardzo rzeczowo wyjaśnił, dlaczego jest zaniepokojony prowadzonymi pracami.

– Drogie panie, ten budynek figuruje w spisie zabytków, a tym samym jest pod szczególną ochroną – mówił tak, jakby chodziło o pałac w Wersalu. – Wszystkie prowadzone w nim remonty muszą uwzględniać jego zabytkowy charakter. Projekt, jaki panie posiadają, niestety odbiega od wytycznych.

– A co najbardziej? – zainteresowała się Dagmara.

Konserwator otworzył projekt na stronie z rysunkiem przedstawiającym okienko w bocznej ścianie budynku, przez które miały być obsługiwane zamówienia samochodowe.

– Najbardziej to – postukał wskazującym palcem w szkic. – Na takie rozwiązanie nie mogę wyrazić zgody – oświadczył stanowczym głosem.

– Czy jeszcze ma pan jakieś zastrzeżenia? – dopytywała Dagmara, notując żółtym długopisem uwagi konserwatora w notatniku.

– Prace prowadzone wewnątrz są do przyjęcia, mimo że prezentują raczej nowoczesny trend.

– W takim razie za kilka dni otrzyma Pan poprawiony projekt bez tego okienka – obiecała Dagmara, obdarzając konserwatora szerokim uśmiechem. Ten uśmiech nieco go speszył. – A wie pan, że kilka tygodni temu myślałam

o panu – wyznała Dagmara, patrząc mu prosto w oczy. Cyprian i Ela spojrzeli na nią jednocześnie, nie bardzo wiedząc, o co jej chodzi. – Jechałam sobie rowerem obok jeziora Sowica i zastanawiałam się, jak ułożył sobie życie pewien chłopak, z którym kiedyś nad tym jeziorem się całowałam – kontynuowała, próbując opanować rozbawienie. Dopiero wtedy w oczach Cypriana zobaczyła błysk zrozumienia.

– Dagmara? – zapytał z niedowierzaniem i też się uśmiechnął.

– To ja poczekam na korytarzu – bąknęła zakłopotana Ela i wyszła. Zostali sami.

– Zmyliło mnie twoje nazwisko, a poza tym minęło tyle lat – usprawiedliwiał się Cyprian.

Miał rację, gdyby spotkała go w sklepie czy na ulicy, nawet do głowy by jej nie przyszło, że to on.

– Nazwisko mam po mężu, ale za jakiś czas wracam do panieńskiego – wyjaśniła, skupiając spojrzenie na jego prawej dłoni.

– W takim razie możemy zakładać klub rozwodników – zaproponował, pokazując ślad po obrączce.

Słowa Cypriana przypomniały jej, że za trzy tygodnie ma pierwszą rozprawę rozwodową. Miała cichą nadzieję, że pierwszą i ostatnią.

Gdy wróciły do Prabut, było już późne popołudnie. Dagmara zaparkowała obok budynku, na którego frontowej ścianie błyszczał napis Café Rondo. Miedziane gotyckie

litery przykuwały uwagę przechodniów oraz kierowców. Wewnątrz lokalu zastały Piotrka.

– No jak idzie? – zagadnęła wesoło Dagmara.

– Wszystko zgodnie z planem – poinformował stojący na drabinie Piotrek.

– A gdzie Jurek? – zapytała, rozglądając się po pomieszczeniu, w którym z każdym dniem zachodziły widoczne zmiany. Ściany zostały już wyrównane i przygotowane do malowania. Piotrek kończył montaż podwieszanego sufitu. Lada dzień miała być wylewana podłoga.

– Jurek jest w kuchni i walczy z hydrauliką – odparł Piotrek, nie przerywając pracy.

Dagmara przeszła do sąsiedniego pomieszczenia. Jurek, ubrany w zielone spłowiałe dżinsy i kraciastą koszulę, klęczał przy ścianie, klnąc pod nosem.

– Coś poważnego? – przykucnęła zaniepokojona obok wyraźnie poirytowanego mężczyzny. Cienkie strużki potu spływały mu po karku. Dagmara bez zastanowienia wyjęła z kieszeni chusteczkę higieniczną i wytarła mu szyję. Jurek spojrzał na nią wyraźnie zawstydzony.

– Raczej nie, tylko robota nie idzie tak, jak myślałem. Stare rury, wszystko rozpada się w rękach – wyjaśnił przepraszająco. – Ale do jutra na pewno skończę, nawet jeżeli miałbym tu spędzić całą noc – zapewnił, wracając do pracy.

Dagmara wstała i przeszła do pierwszego pomieszczenia. Ela siedziała przy prowizorycznym biurku.

– Jadę przywieźć chłopakom coś do jedzenia – oznajmiła Dagmara, opuszczając lokal.

Dzięki siostrze, która uwielbiała gotować, mogła dostarczać chłopakom ciepłe posiłki. Bywały dni, że spędzali w lokalu po kilkanaście godzin. Ich zaangażowanie sprawiało, że prace posuwały się do przodu w niemal zawrotnym tempie. Już na ścieżce prowadzącej do domu Dagmara wyczuła zapachy dobiegające z kuchni.

– Co tym razem smacznego ugotowałaś? – zagadnęła na przywitanie. Marzena ubrana w króciutkie piaskowe szorty i zieloną koszulkę na ramiączkach stała przy kuchennym blacie krojąc coś na drewnianej desce.

– Dzisiaj będzie leczo z cukini z pieczarkami, cebulą, papryką i kawałkami kurczaka – odparła, nie przerywając pracy.

– Brzmi znakomicie, a jak cię znam, to smakuje jeszcze lepiej – pochwaliła ją Dagmara. W przeciwieństwie do Marzeny nie potrafiła tak dobrze gotować. Traktowała gotowanie wyłącznie jako konieczność, a nie przyjemność.

– Jak tam wizyta u konserwatora? – zapytała siostra, wrzucając do garnka pokrojoną cebulę.

– Poszło lepiej niż myślałam. Okazało się, że wystarczy mała zmiana projektu, a pan konserwator będzie zadowolony.

Przez następny kwadrans Dagmara ze szczegółami relacjonowała wizytę w Kwidzynie oraz jej konsekwencje.

– To wielka szkoda, że nie będzie okienka dla samochodów.

– Ja bym tam z tego takiej tragedii nie robiła. Najważniejsze, że knajpka ruszy zgodnie z planem – odparła Dagmara.

– Co tym razem kuchnia daje? – zawołał Piotr, wciąż stojąc na drabinie.

– Dzisiaj leczo z cukini z dodatkami – powiedziała Dagmara, stawiając termos na kwadratowym drewnianym stole.

– Nie powiedziałaś nam, jak tam audiencja u jego wielebności konserwatora? – zganił ją lekko Piotrek, zajadając z apetytem.

Po raz drugi w ciągu ostatniej godziny opowiadała tę samą historię. Jurek siedział po turecku pod jedną ze ścian. Wyglądał na znudzonego żołnierza. To, że kiedyś służył w armii, zdradzała postawa, specyficzny sposób chodzenia i krótka wojskowa fryzura. Dagmara przywykła już do jego sposobu bycia. Mówił niewiele, rzadko się uśmiechał. Choć była pewna, że kilka razy zobaczyła w jego oczach iskierki rozbawienia. Intrygował ją jak zagadka, której nie możemy rozwikłać. Niechętnie rozmawiał o swoim życiu, a to, co mówili inni, niekoniecznie musiało być prawdą. Jurek skończył posiłek, podziękował i mimo późnej pory wrócił do pracy. Piotrek również po kilku minutach stał na drabinie, montując kolejne elementy sufitu. Eli już nie było, pojechała na poważną rozmowę z panią Antoniną, która jak zwykle miała jakieś zastrzeżenia. Dagmara posprzątała i zajęła się poszukiwaniem w Internecie odpowiednich mebli. Wymyśliła sobie, że wszystkie sprzęty mają być jak

najbardziej okrągłe i nawiązywać do nazwy lokalu. O ile ze stolikami nie było problemu, to znalezienie odpowiednich krzeseł stanowiło wyzwanie. Bar, i tego była pewna, będzie musiał być zrobiony na indywidualne zamówienie, podobnie regały.

Po jakiejś godzinie Piotrek skończył robotę, dochodziła już dwudziesta druga. Dagmara także miała zamiar pojechać do siostry. Miniony dzień bardzo ją zmęczył.

– Jurek, zostawiam ci klucze i uciekam – powiedziała, wchodząc do kuchni. Określenie było umowne, bo pomieszczenie jeszcze niczego nie przypominało, a kuchni to w najmniejszym stopniu. Jurek na chwilę przerwał pracę i podniósł się z klęczek.

– To Piotrka już nie ma? – zapytał zawiedziony.

– Wyszedł pół godziny temu, a chciałeś coś od niego?

– Myślałem, że mi tu trochę pomoże. Teraz trzeba tu nie jednej, ale dwóch par rąk – dodał wyjaśniająco.

– To może ja się przydam?

Jurek spojrzał na Dagmarę krytycznym wzrokiem.

– Raczej wątpię, pobrudzisz sobie tylko ubranie – stwierdził na powrót klękając przy plątaninie rur i zaworów. Dagmara wyczuła w jego słowach nutę ironii i wewnętrzna siła niezależnej kobiety kazała jej zareagować.

– Powiedz tylko, co mam robić – oznajmiła, klękając obok Jurka na brudnej betonowej posadzce. Ten spojrzał na nią zdziwiony.

– No dobra, skoro już się pobrudziłaś, to spróbujemy – zdecydował, biorąc z podłogi duży klucz. – Musisz

przytrzymać te dwie rury, a ja będę je z sobą skręcał – tłumaczył, pokazując jednocześnie, w jaki sposób ma trzymać. Dagmara złapała dwa zimne gładkie elementy, a Jurek zaczął je przykręcać. Za każdym obrotem klucza czuła, jak oba trzymane elementy przybliżają się do siebie. Taką samą operację powtórzyli jeszcze czterokrotnie.

– No to najgorsze już zrobiliśmy – oznajmił Jurek, odkładając narzędzia do skrzynki.

– Mam nadzieję, że choć trochę się przydałam? – zapytała Dagmara, otrzepując zakurzone spodnie.

– Gdyby nie ty, robota musiałaby poczekać do jutra – podziękował, obdarzając ją ciepłym uśmiechem.

Mieli już prawie posprzątane, gdy usłyszeli pierwszy grzmot nadciągającej burzy. Nie minęło nawet pięć minut, a ulewa spadła na pogrążone we śnie miasto. Dagmara z niedowierzaniem popatrzyła na zegarek, dochodziła północ.

– Wsiadaj, to cię odwiozę – zawołała do Jurka, przekrzykując odgłos burzy. On tylko pokręcił przecząco głową i ruszył wojskowym krokiem przed siebie. Cienkie nitki deszczu otoczyły go szczelnie, jak wodna peleryna. Nie zwracając na nie uwagi, szedł pewnym równym krokiem, by po chwili zniknąć za pobliskim zakrętem. Dagmara nie potrafiła zrozumieć świata, w którym czasami Jurek się chował. Sądziła, że ma to związek z tym, czym zajmował się przez ponad dwadzieścia lat.

Dokładnie zamknęła drzwi lokalu i szybko przebiegła do zaparkowanego samochodu.

Z dnia na dzień Café Rondo zaczynało przypominać to, czym miało w przyszłości być. Coraz częściej przechodnie zatrzymywali się przed witryną i ciekawsko zaglądali do środka. Gdy do otwarcia został niecały miesiąc, najważniejsze prace były zrobione. Podłogę pokryła brązowo-szara mozaika, ściany zostały pomalowane na kolor słońca stojącego w zenicie. Dostarczono również stoły i krzesła z jasnego drewna zamówione u miejscowego stolarza. On miał także wykonać bar.

Dagmara siedziała przy okrągłym stoliku pachnącym żywicą i lakierem odznaczając żółtym długopisem w swoim notatniku kolejne zrealizowane punkty. Jurek wieszał w kuchni przywiezione kilka godzin wcześniej szafki. Za oknem uliczne latarnie rzucały na chodniki sodowe kręgi światła. Dagmara oddała Jurkowi klucze i wyszła z kawiarni. Wrześniowy chłód niósł z sobą zapachy jesieni.

– Cześć maleńka – głos, który usłyszała za sobą, sprawił, że jej ciało przebiegł zimny, nieprzyjemny dreszcz. Odwróciła głowę i zobaczyła swojego męża.

– Myślałaś, że cię nie znajdę? – zapytał z triumfalnym uśmiechem. – Przecież wiesz, że przede mną nie można uciec – dodał władczym tonem, w którym pobrzmiewała ukryta groźba.

– Co tu robisz i czego chcesz? – rzuciła, próbując opanować drżenie warg, dłoni i serca.

– Jak to co? Przyjechałem po ciebie, kochanie. Twoje miejsce jest u boku męża. Już zapomniałaś, jak żarliwie przysięgałaś w kościele? – zrobił kilka kroków w jej

kierunku. Odruchowo zaczęła się cofać. – Teraz wsiądziesz do samochodu i pojedziemy do Wrocławia – oznajmił z pewnością zwycięzcy.

Nie tym razem – odpowiedziała, patrząc mu prosto w oczy. – Spotkamy się za tydzień, ale w sądzie na rozprawie – dod– ała, opanowując strach.

– Tu się mylisz, maleńka. Żadnej rozprawy nie będzie. Pojedziesz teraz ze mną, a jutro grzecznie wycofasz ten idiotyczny pozew.

– Nim zdążyła zareagować, trzymał ją mocno za nadgarstek.

– Teraz spokojnie, powoli, bez żadnego szarpania i krzyków pójdziemy do samochodu – polecił, wzmacniając uścisk. Przerażenie, jak fala przypływu, zalała cały jej spokój.

– Proszę puścić tę panią! – usłyszała męski niski głos. Dopiero w następnej chwili dotarło do niej, że należy on do Jurka. Adam puścił jej rękę i odwrócił się w stronę, z której padło polecenie. W porównaniu z Jurkiem jej mąż wyglądał jak tytan. Wyższy o ponad głowę. Przewyższał go także wagą, a co za tym idzie również i siłą.

– Człowieku, zamiast wtrącać się w małżeńskie sprawy, zejdź mi z drogi.

Jurek nadal stał obok drzwi do kawiarni.

– Po raz ostatni proszę, abyś zostawił Dagmarę w spokoju – głos Jurka opanowany, twardy i zimny jak metal wywołał w niej krótki dreszcz.

– O widzę, że wy się znacie. A skoro tak, to zapewne wiesz, jak moja żonka jest dobra w łóżku? – wycedził Adam, podchodząc do Jurka z zaciśniętymi pięściami. – Należy ci się porządny łomot za posuwanie cudzych żon – stwierdził Adam, biorąc zamach lewą ręką. Jurek zrobił ledwie widoczny unik, a w następnej sekundzie Adam leżał na chodniku, klnąc pod nosem. Dagmara stała, nie bardzo wiedząc, co się wydarzyło. W świetle ulicznych lamp nie zdołała dokładnie zobaczyć całego zajścia. Jurek kucał przy Adamie, wykręcając mu ręce na plecach.

– Słuchaj no, panie doktorku. Jeżeli jeszcze raz zobaczę, że wchodzisz w drogę Dagmarze, to uwierz mi, że to nie ty, ale ciebie będą musieli operować – Adam cicho jęczał z bólu. – Zrozumiałeś, co powiedziałem? – zapytał Jurek jeszcze bardziej wykręcając ręce leżącego. Adam coś wybełkotał, co zapewne miało oznaczać „tak”. Jurek wstał, podszedł do Dagmary i delikatnie ujął ją za rękę.

– Pozwól, że cię odwiozę do domu – zaproponował, wyciągając drugą dłoń po kluczyki do samochodu. Jechali w milczeniu przez opustoszałe, zamglone ulice.

– Dziękuję za pomoc i przepraszam za Adama – wyszeptała Dagmara, gdy dotarli już pod dom jej siostry. Jurek spojrzał na nią surowym wzrokiem.

– Za kogoś takiego jak twój mąż nie warto przepraszać. Wybacz, że to powiem, ale dla mnie jest on przykładem faceta, który uważa siebie za kogoś, komu wszystko się należy. A gdy coś idzie nie po jego myśli, ponoszą go nerwy. Dobrze robisz, rozwodząc się z nim – zakończył Jurek,

wysiadając i przechodząc na drugą stronę samochodu, by otworzyć jej drzwi. Ten prosty gest sprawił, że Dagmara lekko się zaczerwieniła. Żaden mężczyzna nigdy nie otwierał jej drzwi samochodu. Jurek odprowadził ją do samej furtki, oddał kluczyki, powiedział „dobranoc” i odszedł w mrok.

Im bliżej było do dnia rozprawy, tym bardziej udzielało się Dagmarze zdenerwowanie. Po tym jak Adam miał czelność przyjechać do Prabut, wyprawa do Wrocławia napawała ją lękiem. Jurek chyba coś zauważył, bo na dwa dni przed terminem rozprawy podszedł do niej i zaoferował, że może z nią pojechać. Zrobił to tak zwyczajnie, jakby chodziło o podwiezienie do domu. Zaskoczona Dagmara zgodziła się bez najmniejszego zastanowienia. Refleksja przyszła dopiero kilka godzin później.

– Wiesz Jurek, wracając do twojej propozycji – zaczęła, zaczepiając go w przerwie, jaką zrobił sobie na wypicie kawy. – Nie wiem, czy powinnam obarczać cię swoimi problemami. Wyprawa do Wrocławia to nie wyjazd do Kwidzyna. Nie mam prawa nadużywać twojego czasu. Przecież i tak zgodziłeś się pomóc nam w uruchomieniu kawiarni.

Przez cały czas jej wyjaśnień Jurek spokojnie pił kawę. Gdy skończyła, spojrzał na nią tym swoim dziwnym wzrokiem, którego nie potrafiła rozszyfrować.

– Po pierwsze, to ja zaproponowałem, że z tobą pojadę. Po drugie, wolałbym abyś wróciła cała i zdrowa, a po

trzecie, pojedziemy twoim samochodem. Mój nie nadaje się na tak długie trasy.

Wyruszyli kilka minut po trzeciej w nocy. Rozprawa została wyznaczona na trzynastą trzydzieści, więc nawet przy natężonym ruchu mieli jeszcze spory zapas czasu. Dagmara przed wyjazdem przygotowała kanapki i termos mocnej słodkiej kawy, takiej, jaką zwykle pijał Jurek. Po raz pierwszy od dłuższego czasu podróżowała jako pasażer, a nie kierowca. Jurek prowadził z wyjątkową gracją i łagodnością, o którą nawet nie podejrzewała mężczyzn. Jazda z Adamem przypominała rundę po torze wyścigowym pełną przyspieszeń, nagłego hamowania i ostrego pokonywania zakrętów. W przypadku Jurka żaden z tych elementów nie występował. Samochód poruszał się prawie cały czas z tą samą prędkością, mijane zakręty pokonywał z prawdziwym wdziękiem. Dagmara rozłożyła fotel pasażera, przykryła się kocem i próbowała zasnąć. Chciała powiedzieć Jurkowi, jakim według niej jest dobrym kierowcą, ale kołysanie samochodu sprawiło, że nie wiedzieć kiedy zasnęła.

Obudziło ją lekkie potrząsanie za ramię. Otworzyła oczy, poranne słońce roziskrzało zalegające na trawie kolorowe liście. Jurek siedział na miejscu kierowcy, trzymając dwa parujące kubki.

– Gdzie jesteśmy? – zapytała Dagmara, przeciągając zdrętwiałe ciało.

– Kilka kilometrów za Gnieznem – odpowiedział Jurek, podając jej jeden z kubków. Kawa była mocna i słodka.

Osobiście za taką nie przepadała, ale tym razem smakowała wybornie.

– Taka dawka kofeiny postawiłaby na nogi konia – oceniła Dagmara, oddając Jurkowi pusty kubek.

– To może nawet dobrze, bo dzisiaj musisz mieć spory zapas energii – słowa Jurka przypomniały jej o ponurej rzeczywistości. Chciała mieć to wszystko już za sobą. Perspektywa spotkania z Adamem nie była niczym przyjemnym.

– Dlaczego ludzie nie potrafią rozstać się w cywilizowany sposób? – westchnęła Dagmara, błądząc spojrzeniem po linii horyzontu.

– Może dlatego, że zbyt często traktujemy innych ludzi jak przedmioty, które do końca życia i bez względu na okoliczności będą naszą własnością – odpowiedź Jurka utwierdziła ją w słuszności tego, co robi. Adam niemal od początku ich małżeństwa traktował ją jak rzecz i gdyby tego nie przerwała, tak byłoby nadal.

– Rozwód i jego konsekwencje nigdy nie są przyjemne, sam dobrze o tym wiem – wyznał Jurek cichym głosem.

– Dawno temu się rozwiodłeś? – zapytała. – Jeżeli nie masz ochoty o tym rozmawiać, to nie było pytania – dodała po chwili.

– W moim wypadku rozwód był wkalkulowany w ryzyko zawodowe. Z doświadczenia wiem, że żołnierze, którzy więcej niż siedem lat spędzają na zagranicznych misjach przeważnie nie mają udanego życia rodzinnego. Częściej spotyka ich rozwód niż postrzał na misji. W moim

przypadku nie było inaczej. Długotrwała rozłąka nie jest dobrym spoiwem dla związku. Brak małżonka rekompensuje się wtedy czymś lub kimś innym. U nas było podobnie. Żona znalazła kogoś, kto nie biegał z karabinem kilka tysięcy kilometrów od domu, ale był przy niej. Mimo że wiedziałem o jego istnieniu, przez długi czas nic z tym nie robiłem. Prawda też jest taka, że sam nie byłem wobec żony w porządku podczas przebywania za granicą. Gdy odszedłem z wojska, trzeba było rozwiązać tę niezręczną sytuację. Najprostszym wyjściem był rozwód. Oboje wiedzieliśmy, że tak będzie najlepiej. Jakiekolwiek próby ratowania naszego małżeństwa byłyby z góry skazane na porażkę.

Dagmara słuchała, szukając w myślach słów, którymi mogłaby odpowiedzieć na wyznanie Jurka, ale w głowie miała kompletną pustkę.

– Nie musisz nic mówić – zapewnił ją, jakby czytał w jej myślach.

Sprawa rozwodowa przybrała scenariusz, jakiego Dagmara wcale nie brała pod uwagę. Adama nie było. Reprezentował go adwokat, który odczytał oświadczenie swojego klienta. Adam wziął całą winę na siebie, wyraził skruchę oraz zobowiązał się do przekazania Dagmarze połowy kwoty uzyskanej ze sprzedaży ich mieszkania.

Wracała do Prabut z przekonaniem, że nie będzie to już przystanek w drodze do wymarzonego świata. Żółtym długopisem skreśliła kilka punktów zapisanych w notatniku i dopisała jeden, który miał się stać priorytetem.

ŚLADY PRZESZŁOŚCI

Niski, szczupły mężczyzna o szarym smutnym spojrzeniu i ciemnych sięgających ramion włosach siedział nad letnią już kawą podaną w ceramicznym kubku. Do osiemnastej brakowało jeszcze kilku godzin. Dla zabicia czasu rozwiązywał krzyżówkę. „Prawdziwe nazwisko Jantar znanej piosenkarki”. Między datami, nazwiskami, rymami, nazwami, które jak upchnięte fiszki wypełniały jego głowę, próbował znaleźć odpowiedź na krzyżówkowe pytanie. Obracał w palcach żółty długopis pożyczony od dziewczyny z obsługi. Analizował kamieniczki przeniesione z prabuckiego rynku na ceramiczny kubek. Artysta, o ile można tak nazwać kogoś, kto ozdabia naczynia, miał dobre wyczucie proporcji, ale dobór kolorów nie był już tak udany. Dachy przesłodzone czerwienią, elewacje idealnie piaskowe, a okna bardziej przypominające ludzkie spojrzenie niż bierność przedmiotu. Chyba że piętnaście lat, jakie minęły od dnia, gdy opuścił

Prabuty, przyniosły aż tak duże zmiany w architekturze. Musiał przyznać, że wiele w tym mieście uległo zmianie. Siedział teraz w przytulnej kawiarni obok ronda. Gdy odjeżdżał, nie było ani jednego, ani drugiego. Wtedy szedł na dworzec z dziurawym plecakiem, kilkoma dolarami w kieszeni i biletem do nowego, lepszego świata. Gdy tylko pociąg ruszył, otworzył okno i splunął na miejsce, do którego już nigdy więcej nie miał wrócić. Tak było do czasu, aż otrzymał zaproszenie na klasowe spotkanie. Wspomnienia wróciły, uderzyły, wywołały łzy, przypomniały ból. Piętnaście lat to zbyt krótko, by zapomnieć i dostatecznie długo, by z nikogo stać się kimś. Wstał i podszedł do baru.

– Przepraszam, nie wie Pani, jak brzmiało prawdziwe nazwisko Anny Jantar?

Kobieta po drugiej stronie jasnej drewnianej lady podniosła wzrok utkwiony w jakimś czasopiśmie. Zobaczył jej twarz. Okrąglutką, delikatnie opaloną, z kilkoma piegami. To samo wiosenne spojrzenie, jak zwykł nazywać kolor jej oczu, wciąż długie ciemne włosy upięte w staromodny kok i nadal pytająco uniesione brwi. „Kilkanaście lat wcale jej nie zmieniło” – pomyślał, patrząc na koleżankę, z którą przez cały okres liceum dzielił szkolną ławkę. Ona też go poznała.

– Co ty tu robisz – zapytali równocześnie, a w następnej chwili wybuchnęli śmiechem. Usiedli przy stoliku. Aromat świeżej gorącej kawy towarzyszył ich rozmowie.

– Wróciłam, że tak powiem, na stare śmieci i od kilku miesięcy razem z kilkoma znajomymi prowadzę ten lokal – wyjaśniła, zataczając dłonią szeroki krąg obejmujący przytulne wnętrze wypełnione gazetami, czasopismami, książkami oraz ludźmi siedzącymi przy okrągłych stolikach. To, co usłyszał, było zaskakujące. Dagmara od zawsze powtarzała: zrobię wszystko, by wyrwać się z tego zadupia. Słyszał, że skończyła studia z wyróżnieniem, miała męża, mieszkała i pracowała we Wrocławiu. Świeża kawa nasycała każde wypowiadane słowo, pozwalała rozmowie płynąć własnym kawiarnianym rytmem.

– Przecież od zawsze chciałaś uciec z tej dziury.

Nieznacznie opuściła głowę, mocniej objęła ceramiczny kubek. Gest, choć krótki, nie umknął jego uwadze.

– Czasami lepiej wrócić do dziury niż tkwić w bagnie – odparła nieco melancholijnym tonem. – Lepiej powiedz, co u ciebie? – zmieniła temat. – Wiem, że teraz jesteś sławny – dodała z nutą podziwu, w której nie było jednak żadnej zazdrości.

W paru zdaniach opowiedział o ostatnich kilkunastu latach spędzonych w Anglii i Stanach Zjednoczonych, pomijając okoliczności wyjazdu. Ale ona pamiętała. Pamiętali wszyscy i nawet on sam nie potrafił zapomnieć.

– Miron, mimo kilku lat spędzonych w jednej ławce, nigdy nie byliśmy aż tak blisko, bym mogła wkładać paluchy w twoje życie. – Nie miał zamiaru słuchać o swoich niegodziwościach. Wystarczyło, że kilka razy w miesiącu o nich śnił. – Powiem ci jedynie, że twój przyjazd nic

dobrego nikomu nie przyniesie. Marta i Jacek mieszkają w Rakowcu, są szczęśliwym małżeństwem. Jeżeli masz zamiar rozdrapywać stare blizny, to odpuść sobie. – Nie miał zamiaru rozgrzebywać tego, co uleżało i zarosło, ale musiał wyrównać rachunki z przeszłości.

– Wiem, że w przypadku Jacka i Marty postąpiłem podle i nikt nie musi mi tego przypominać. Przyjechałem na spotkanie klasowe. – Nie wiedział czy uwierzyła, to jednak nie miało żadnego znaczenia. – Powiedz mi, Dagmara, co z pozostałymi?

Przez kolejną godzinę słuchał o sukcesach i porażkach swoich rówieśników. Większość założyła już rodziny, mieli po kilkoro dzieci i wiedli życie statystycznych Polaków. Kilku szczególnie się powiodło, paru wybitnie nie poradziło sobie z rzeczywistością, a jeden wybrał skok z wieżowca. Przed opuszczeniem kawiarni zapisał na skrawku oderwanym z gazety numer telefonu Dagmary i wraz z żółtym długopisem schował do kieszeni marynarki.

Wyszedł w objęcia styczniowego zimnego popołudnia. Mokre białe płaty ciężko uderzały o ziemię. Światła latarni dzielnie walczyły, ale mimo to nie zdołały pokonać mas, które zmieniały ich jasne światło w mglistą poświatę. Nim dotarł do samochodu zaparkowanego przy stacji benzynowej, śnieg oblepił go od stóp do głów. Odizolowany od polskiej styczniowej rzeczywistości uruchomił ogrzewanie. Po chwili strumienie suchego ciepłego powietrza rodem z Sahary wypełniły wnętrze. Wilgotną kurtkę rzucił na tylne siedzenie, wyłączył telefon

komórkowy, rozłożył fotel. Spróbował zasnąć, ale przeszłość była silniejsza niż zmęczenie. Nie mógł uchylić okna i wyrzucić jej jak upartego owada czy niedopałka papierosa. Mógł ją zagłuszyć alkoholem, ale nie teraz. Dzisiaj musiał być trzeźwy. W końcu zasnął i niemal natychmiast jego sen wypełniły obrazy z przeszłości, a on musiał je oglądać.

Jasny sierpniowy poranek witał trelami obudzonego ptactwa, kilkoma złocistymi promieniami słońca zalegającymi na pobliskich głazach. Uwięziony w ciepłych ramionach Marty przez szparę w wejściu do namiotu zobaczył Jacka rozpalającego ognisko. Uwolnił się z objęć śpiącej dziewczyny, wciągnął spodnie i boso wyszedł z namiotu.

– Cześć! Jak zwykle ranny z ciebie ptaszek – przywitał brata krzątającego się przy ognisku. Jacek postawił osmolony czajnik na trójnogu. Smukłe języki ognia otoczyły całe naczynie.

– Wiesz, Miron, przeanalizowałem wczoraj to wejście na grodzisko i jestem pewien, że lepiej będzie zaatakować od wschodu. – Propozycja była zaskakująca i w pewnym sensie szalona. Przez ostatni tydzień ślęczeli nad mapami, analizując każdy metr skały.

– Sądziłem, że atak od południa jest już ustalony? – stwierdził Miron, siadając na kamieniu obok ogniska. Jacek spojrzał roziskrzonym wzrokiem. Mirona ciekawiło, ile było w nim fascynacji z odkrycia czegoś nowego, a ile odbitych płomieni ogniska.

– Ja też tak myślałem, dopóki nie odkryłem tej wąskiej półki, o tutaj – oznajmił, klękając przy rozłożonej mapie. Miron wstał i podszedł bliżej, chcąc zobaczyć miejsce, które odkrył brat. Rzeczywiście w połowie skały widoczna była niewielka półka skalna. Mogła mieć jakieś dwa metry długości i kilkanaście centymetrów szerokości.

– Bardzo interesujące – przyznał Miron, jednak bez entuzjazmu. Najbardziej obawiał się reakcji Marty na zmianę wspinaczkowych planów. Odkrycie Jacka ułatwiało wejście na szczyt. Wymagało jednak dodatkowego dnia na bardziej szczegółowe rozpoznanie.

– Co tam kombinujecie? – dobiegł ich zaspany głos dziewczyny wyłaniającej się z namiotu.

– Jacek znalazł nową trasę na grodzisko od wschodu – wyjaśnił Miron nie odrywając oczu od mapy.

– Ale przecież mieliśmy wchodzić od południa? – W głosie Marty narastała irytacja.

– Ta trasa wydaje się lepsza – oznajmił Miron, próbując powstrzymać jej wściekłość.

– Z całą pewnością jest lepsza – zawyrokował podekscytowany Jacek. Po chwili Marta stała nad nimi z miną świadczącą o rychłej eksplozji.

– A ja myślę, że zamiast konkretnej wspinaczki, marnujemy dnie na jakieś pieprzone analizy. Do cholery, to jest wypad naukowy czy wspinaczkowy? – Jacek wstał, otrzepał kolana z grudek ciemnej ziemi.

– Marta, zanim wejdziesz na skałę, trzeba dokładnie ją rozpracować.

– Swoje rozpracowywanie zostaw na dziewczyny, a może po kilku latach jakąś rozbierzesz – rzuciła kpiącym tonem. – Przyjechałam się powspinać, a co mam? Dwóch facetów, którzy dniami ślęczą nad mapą zamiast wziąć dupę w troki i ruszyć na ścianę. – Jacek dotknięty do żywego postanowił nie być jej dłużny.

– Zamiast mleć tym swoim wrednym babskim ozorem pomyśl choć raz o bezpieczeństwie. Tylko odpowiedzialne i bezpieczne wspinanie jest przyjemnością. To nasze, jak to nazwałaś ślęczenie, to ni mniej, ni więcej szukanie drogi, która pozwoli cało wejść i w takim samym stanie zejść. – Miron wiedział, że każde z nich ma trochę racji, ale równie pewne było to, że żadne tak łatwo nie odpuści.

– Chwileczkę – oznajmił, wchodząc między nich. – Zanim rzucicie się sobie do gardeł, spróbujmy poszukać innego rozwiązania. – Marta przeniosła na niego wściekłe spojrzenie. Pod wpływem gniewu jej oczy z niebieskich stawały się ciemnostalowe.

– Czyli proponujesz znalezienie trzeciej drogi?

– Wcale nie – powiedział Miron, kładąc dłoń na jej ramieniu. – Mamy dwie trasy i musimy wybrać jedną z nich.

– To sobie wybierajcie, ja wchodzę od południa i mam zamiar zrobić to jeszcze dzisiaj.

Wiedzieli doskonale, że samotne wejście i to niezależnie od której strony było niemożliwe. Ktoś musiał ubezpieczać. To nie były kilkunastometrowe skałki, ale ściany liczące prawie dwieście metrów. Jacek z rezygnacją zaklął pod nosem.

– No dobra, wychuchana panienko, wejdziemy od południa, ale robię to wyłącznie z poczucia odpowiedzialności za całą naszą trójkę. – Losowaniem ustalili, że Jacek i Marta wchodzą na ścianę, a zadaniem Mirona będzie ubezpieczanie.

Przygotowanie sprzętu i dotarcie na miejsce zabrało im prawie dwie godziny. Pocieszającym był fakt, że przy skałach nikogo nie było. Podejrzewali, że miała na to wpływ prognoza pogody. Na popołudnie zapowiadano gwałtowne burze. Jednak na razie tylko tu i ówdzie niebo zaśmiecały małe postrzępione obłoki przypominające watę cukrową. Mimo osobistych zatargów, na ścianie Jacek i Marta stanowili doskonały duet. Dla obojga wspinaczka była czymś więcej niż pasją. Oni byli w niej zakochani. Miron traktował wspinanie jak źródło adrenaliny.

Dotarcie do szczytu zajęło im nieco ponad godzinę. Problemy zaczęły się przy zejściu. Wystarczyło kilka minut, by prawie bezchmurne niebo szczelnie wypełniły czarne złowrogie chmury. Silne podmuchy wiatru miotały suchymi gałęziami, przyginały do ziemi trawy i krzaki. Marta schodziła pierwsza. Mimo zasiekającej ulewy szczęśliwie dotarła na dół. Jackowi zabrakło jakichś trzydziestu metrów.

Silne pukanie w szybę samochodu wyrwało go ze szponów snu i wspomnień. Zapadł już zmrok, śnieg przestał padać. Za jego samochodem stał radiowóz. Niebieskie pulsujące światła odbijały się od świeżego białego puchu. Policjant stojący przy drzwiach ponownie zapukał w szybę. Miron poprawił fotel i uchylił okno.

– Dobry wieczór panu. Radosław Świerczyński, komisariat policji w Prabutach. Poproszę prawo jazdy i dokumenty wozu wraz z ubezpieczeniem.

– Czy dopuściłem się jakiegoś zabronionego czynu? – zapytał Miron, podając dokumenty. Policjant spojrzał na paszport, porównując zdjęcie z Mironem.

– Jak na razie nie, ale dostaliśmy sygnał, że w parkującym obok stacji benzynowej samochodzie leży jakiś człowiek. Wie pan, w tak małym miasteczku jak Prabuty ludzie bardzo szybko dostrzegają dziwne rzeczy. Może mi pan powiedzieć, co obywatel Stanów Zjednoczonych robi w zaparkowanym na uboczu samochodzie? – Mimo że obywatelstwo amerykańskie otrzymał kilka lat wcześniej, nadal trudno było mu się do tego przyzwyczaić.

– Przyjechałem do Prabut na szkolny zjazd absolwentów tutejszego liceum – odpowiedział Miron zgodnie z prawdą. – Może pan nie uwierzy, ale kiedyś mieszkałem w Prabutach i chodziłem do tutejszej szkoły – dodał, widząc zdziwioną minę policjanta.

– O zjeździe absolwentów coś tam słyszałem – odparł funkcjonariusz sprawdzając pozostałe dokumenty. – W takim razie, panie Malik, życzę miłego pobytu w naszym małym miasteczku – powiedział policjant oddając Mironowi dokumenty. Zegarek wskazywał kilka minut po szesnastej. Rozważał powrót do hotelu, ale sama podróż do Kwidzyna i z powrotem zajęłaby zbyt dużo czasu. Mimo wielu pozytywnych zmian brakowało w samych Prabutach hotelu,

czy choćby jakiegoś pensjonatu. Postanowił rozprostować nogi i odwiedzić kilka miejsc darzonych szczególnym sentymentem. Pierwszym był dworzec kolejowy. To tam spędził z kumplami wiele jesienno-zimowych wieczorów. Grali w karty, popijali piwo, cieszyli się życiem. Był ciekaw czy ostatni fizyczny ślad jego obecności w Prabutach przetrwał próbę czasu. Zamknął samochód i ruszył przez zaśnieżone chodniki. Stary kort tenisowy i plac targowy nadal były na swoim miejscu. Dochodząc do stacji kolejowej wypatrywał na murze okalającym prawdopodobnie najstarszy prabucki zakład pracy zdania, jakie piętnaście lat temu napisał niebieskim sprayem. Jednak nie mógł odszukać proroctwa, jakie zostawił tym, którzy tu zostali. „To miasto umiera, a wy razem z nim”. Prawdopodobnie jego przemyślenia nie spodobały się tym, którzy jednak postanowili tu zostać. Zepsuty zegar w dworcowej poczekalni wskazywał drugą piętnaście. Ten widok przypomniał mu zdanie przeczytane w książce *Brida* autorstwa Paulo Coelho „Nawet ten zepsuty zegar dwa razy na dobę wskazuje właściwą godzinę”. Kartka obok zamkniętego na głucho okienka kasowego informowała o godzinach, w jakich można było kupić bilet. Rozkład jazdy był ledwie mizerną cząstką tego sprzed kilkunastu lat, kiedy to przez Prabuty przejeżdżało kilkadziesiąt pociągów dziennie. Otworzył drzwi prowadzące na perony. Miał wrażenie, że mimo upływu lat zaskrzypiały tak samo jak kiedyś. Perony były rozkopane, część torów zdemontowano. Z tego, co usłyszał od Dagmary podczas krótkiej rozmowy

w kawiarni, od kilku lat trwała przebudowa linii kolejowej z Warszawy do Gdańska, a że przebiegała ona także przez Prabuty, to efekt był taki, jak można było zobaczyć. Nie licząc Dagmary jak dotąd nie spotkał nikogo znajomego. Z jednej strony był zadowolony z takiego obrotu spraw. Wolał unikać spotkań w cztery oczy. Wrócił na stację benzynową. Zamówił kawę i coś do jedzenia. Sprawdził pocztę elektroniczną, odpisał na kilka ważnych emaili. Zastanawiał się nawet czy nie powinien wsiąść do samochodu i odjechać. Czy tak nie byłoby lepiej? Jednak jak długo można uciekać?

Budynek domu kultury, w którym miał się odbyć zjazd, zapraszał jasno oświetlonymi oknami. Otrzepał buty przed drzwiami, nacisnął klamkę i wszedł do środka. W korytarzyku prowadzącym do sali głównej spotkał kilka osób, które obrzuciły go leniwymi, obojętnymi spojrzeniami i wróciły do ożywionej rozmowy. Gdzieś z oddali słyszał piskliwy głos Zbigniewa Górskiego. Tego głosu nie sposób było zapomnieć. Ciekawiło go, czy nadal jest dyrektorem. Młoda dziewczyna, zapewne uczennica liceum zaprosiła do szatni zorganizowanej w jednym z bocznych pomieszczeń. Lustrując stroje pozostałych osób uznał, że jego ubiór jest taki jak być powinien, czyli odbiegający od normy, ekscentryczny i niegodzien naśladowania. Czerwona taliowana koszula wpuszczona w czarne skórzane ciasno dopasowane spodnie, do tego brązowa zamszowa marynarka o sportowym kroju. Całości dopełniały wysokie czarne glany z metalowymi nosami oraz duży srebrny

kolczyk w lewym uchu. Licealistka odbierająca od niego kurtkę krytycznym wzrokiem zlustrowała jego garderobę.

– Pan jest jednym z absolwentów? – zapytała, podając mu numerek wieszaka.

– Tak, podobnie jak większość obecnych – odparł, obdarzając ją promiennym uśmiechem, który jednak nie zrobił na dziewczynie wrażenia.

– Mogę prosić o pana nazwisko? – Dziewczyna widząc jego zdziwione spojrzenie wyjaśniła. – Otrzyma pan plakietkę z imieniem i nazwiskiem. Po piętnastu latach ludzie się zmieniają. Identyfikatory pozwolą się rozpoznać.

– Nazywam się Miron Malik – licealistka na dźwięk jego nazwiska zesztywniała, gapiąc się na niego szeroko otwartymi oczami. Komiczna mina dziewczyny skłoniła Mirona do żartu. – Ale spokojnie, pogłoski o tym, że nie jestem szczepiony i gryzę są mocno przesadzone – oznajmił konspiracyjnym szeptem.

– Bardzo przepraszam, po prostu wiele o panu słyszałam – bąknęła zawstydzona uczennica, rumieniąc się po czubek nosa. Chciał nawet zapytać, co takiego o nim słyszała, ale doszedł do wniosku, że najpewniej wszystko co najgorsze i porzucił ten zamiar. Poza tym dziewczę nie wyglądało na miłośniczkę sztuki, a już na pewno w jego wydaniu. Przyczepił do klapy marynarki otrzymany identyfikator i już miał odejść, gdy licealistka poprosiła, aby zostawił wpis w kronice szkolnej.

– Jest pani pewna, że mogę to zrobić?

– Myślę, że będzie to miły gest z pana strony – odparła dziewczyna bez chwili namysłu. Miron wyciągnął z kieszeni żółty długopis zabrany z kawiarni. Na białej kartce było już kilka wpisów, jednak nie znał żadnego z ich autorów. „Gówno mnie obchodzą słodkie opinie hipokrytów. Wolę gorzką prawdę głoszoną przez społecznych wyrzutków. Oni zawsze i wszędzie są sobą, nawet jeżeli oznacza to bycie nikim”. Pod wpisem dodał jeszcze datę i podpis. Zawsze miał odwagę mówienia tego, co myśli, nawet jeżeli jedynie on w to wierzył. Żółty długopis na powrót schował do kieszeni i przeszedł do sali głównej. Tłum ludzi gęstniał z każdą chwilą. Próbował wypatrzeć jakieś znajome twarze bądź nazwiska na plakietkach mijanych ludzi. Miał zamiar zaszyć się gdzieś w kącie i tak dotrwać do końca spotkania. Szukał właśnie odpowiedniego miejsca, gdy usłyszał za sobą piskliwy okrzyk, który wypełnił całą salę.

– O pan Miron! Jak miło, że zechciał pan zaszczycić nasz zjazd.

„No i plany diabli wzięli” – pomyślał, odwracając się do idącego w jego stronę starszego mężczyzny. Górski nic, ale to nic się nie zmienił. Niski, łysy, o kościstej szczęce i małych wodnistych oczkach, które w odległej młodości z pewnością były niebieskie. Wyciągnął do Mirona wysuszoną dłoń. Gwar rozmów wolno wygasał. Ludzie zaczęli odwracać głowy w ich stronę.

– Dobry wieczór panie dyrektorze – przywitał się grzecznie Miron, niechętnie podając dłoń Górskiemu.

– Dyrektorem to byłem kiedyś. Teraz odpoczywam na zasłużonej emeryturze, a kierowanie szkołą oddałem w ręce młodszego pokolenia – oznajmił Górski tonem człowieka, który swoim zdaniem wykonał kawał dobrej roboty. – Za to ty, Mironie, jesteś jednym z naszych najznakomitszych absolwentów. Ja od zawsze wierzyłem w twój talent, a dzięki wytrwałości osiągnąłeś coś, czego wielu ci zazdrości. – W Mironie wzbierała wściekłość. Większość z obecnych na sali wiedziała, jak było naprawdę, tylko jakoś dziwnie nagle wszyscy o tym zapomnieli. – Mironie, jeżeli pozwolisz, to przedstawię cię obecnemu dyrektorowi, panu burmistrzowi oraz naszym władzom samorządowym. – Po kwadransie wypełnionym prezentacjami, uściskami dłoni, serdecznymi uśmiechami w wydaniu sztucznych ludzi lokalnej władzy Miron wrócił do przeszukiwania sali w poszukiwaniu osób z jego klasy. Odnalazł kilku, powspominali dawne czasy. Teraz byli już innymi ludźmi. Poza szkolnymi wspomnieniami nie mieli żadnych wspólnych tematów. Tuż po osiemnastej na scenie pojawiło się kilka osób, wśród nich Górski, obecny dyrektor, burmistrz, dyrektor domu kultury i jakiś poseł czy senator. Część oficjalną rozpoczął nie kto inny jak Górski. Autentycznie wzruszony wychwalał wszystkie klasy z ich rocznika.

– Każdy z was opuścił mury naszego liceum zaopatrzony w wiedzę, umiejętności i dobre wychowanie, które prócz nauki przekazywaliśmy wam każdego dnia. Jako nauczyciele mamy poczucie dobrze spełnionego obowiązku.

Wyfrunęliście do nowego świata, by dalej zdobywać to, czego my nie mogliśmy już was nauczyć. Każdy z was wybrał własną drogę i mam szczerą nadzieję, że po tych piętnastu latach nikt z was nie żałuje swoich wyborów.

Miron wypatrzył Dagmarę i podszedł do niej. Czarna sukienka do kolan wykończona delikatną granatową koronką wyszczuplała i tak już smukłą sylwetkę.

– Jak ci się podoba przemówienie Sępa? – zapytał, przywołując stare przezwisko dyrektora.

– Jak zwykle żarliwe – odpowiedziała z ironicznym uśmiechem.

– On nawet po śmierci będzie zanudzał swoimi przemowami – zawyrokował, puszczając do niej oko.

– Tylko ciekawe czy w raju, czy piekle? – odparła, dołączając się do burzy oklasków.

– Pozwólcie państwo, że teraz nasi obecni uczniowie przybliżą sylwetki tych absolwentów, którzy mają szczególne zasługi w promowaniu Prabut – zapowiedział Górski, ustępując miejsce przy mikrofonie trójce licealistów.

– Szanowni absolwenci, mam zaszczyt zaprezentować sylwetkę Anity Jezierskiej – zaczęła pulchna dziewczyna ubrana w czarną spódniczkę i białą bluzkę. – Pani Anita ukończyła nasze liceum z wyróżnieniem, następnie również z wyróżnieniem obroniła pracę magisterską i doktorancką na Uniwersytecie Warszawskim. Od trzech lat jest eurodeputowaną. Niestety obowiązki zawodowe zatrzymały ją w Brukseli i nie może być tu razem z nami. Przesłała jednak list, który teraz odczytam.

– Kto to jest ta Jezierska? – zapytał szeptem Miron.

– Jezierska to jej nazwisko po mężu, panieńskie to Kowalewska – wyjaśniła także szeptem Dagmara. Teraz Miron wiedział, o kim mowa. Anita była słynnym klasowym, jeśli nie szkolnym kujonem. Nawet część nauczycieli pałała do niej niechęcią. Jednak mimo tego musiał przyznać, że osiągnęła wiele. Przydługi list eurodeputowanej dobiegł końca. Sala rozgrzmiała po części wymuszonymi oklaskami.

– Teraz chcielibyśmy państwu przedstawić sylwetkę naszego kolejnego wybitnego absolwenta. Człowieka, który od razu po ukończeniu naszego zacnego liceum skoczył na głęboką wodę. – Czysty dźwięczny głos wysokiego młodzieńca z okularami w metalowych oprawkach na nosie i szopą ciemnorudych włosów na głowie wypełniał pogrążoną w oczekiwaniu salę. – Z wyróżnieniem ukończył Royal College of Art, jedną z najbardziej znanych brytyjskich uczelni artystycznych. Następnie, oczywiście również z wyróżnieniem ukończył prestiżową amerykańską kuźnię talentów, jak zwykło się nazywać Art. Institute of Chicago. Jego obrazy można podziwiać w muzeach i galeriach na wszystkich kontynentach. Zapraszamy na scenę Mirona Malika. – Dagmara popchnęła go do przodu lekkim kuksańcem. Miron wolał pozostać w ukryciu. Przedstawienie, w jakim przyszło mu brać udział, przestawało go bawić. Najbardziej pod słońcem nienawidził hipokrytów. Wyrachowana zmiana poglądów na jakiś temat czy opinia o jakimś człowieku budziły w nim wstręt i wewnętrzny sprzeciw. Wchodząc na oświetloną scenę

pomyślał: „Chcecie Mirona, to będziecie go mieli”. Podszedł do mikrofonu, z podwyższenia sceny dokładnie widział wszystkich obecnych na sali.

– Witam wszystkich serdecznie z drobnymi wyjątkami – zaczął, opanowując drżenie głosu. – Podobnie jak większość z was piętnaście lat temu ukończyłem prabuckie liceum. Prawdą jest także, że wybrałem skok na głęboką wodę. Ale szczerze mówiąc nie miałem innego wyjścia. Prabuty nie były wtedy miejscem, gdzie można było realizować swoje marzenia i talenty. W te ostatnie wierzyła jedynie świętej pamięci pani Urszula Sokołowska. To dzięki jej namowom wystąpiłem o stypendium do Royal College of Art. Całe pozostałe szacowne i zacne grono pedagogiczne miało mnie głęboko w dupie. – Po tych słowach przez salę przetoczył się cichy pomruk.

– Jedną z rzeczy, których nienawidzę na świecie, jest hipokryzja. Nigdy nie byłem, nie jestem i nie będę hipokrytą. Dlatego też wciąż pamiętam słowa dyrektora Górskiego, którymi częstował mnie kilka razy w tygodniu: „Malik, głupkiem byłeś, jesteś i zostaniesz”. Wszystkich, którzy choć raz to słyszeli, proszę o zagwizdanie. – Tym razem od murów odbiły się dziesiątki gwizdów. Wśród oficjeli zgromadzonych na scenie zapanowała konsternacja. – W przeciwieństwie do wielu ludzi nadal pozostałem tym głupim Malikiem o niewyparzonej gębie i chłopskich manierach – zapewnił Miron, przekrzykując pojedyncze gwizdy. Miał już zejść ze sceny, gdy w tłumie gdzieś na końcu sali dostrzegł twarz Marty. Wciąż miała pszeniczne

włosy i spojrzenie wypłowiałego błękitu. Tyle że teraz nie dostrzegł w nim blasków radości, które kiedyś nazywał diabelskimi ognikami. Ich spojrzenia skrzyżowały się jak dwa miecze. On pierwszy odwrócił wzrok i zszedł ze sceny.

– Ale im wygarnąłeś – usłyszał od pierwszego napotkanego absolwenta.

– Należało im się – dodał następny, serdecznie poklepując Mirona po plecach.

Nie zwracając uwagi na okazywane dowody sympatii i podziwu przeciskał się do miejsca, gdzie widział Martę. Bardzo chciał ją zobaczyć, ale wątpił, że przyjdzie na spotkanie. Teraz chciał z nią porozmawiać. Marta stała oparta o ścianę z lampką szampana. Ubrana w klasyczną pomarańczową sukienkę bez rękawów, czarny ażurowy szal narzucony na ramiona, zamszowe czarne botki sięgające nieco nad kostkę. „Kiedyś preferowała dżinsy, flanelowe koszule i ciężkie glany” – przypomniał sobie Miron. Mimo zmiany sposobu ubierania zostało w niej coś z tej dziewczęcej Marty. Nadal używała świeżych cytrusowo-kwiatowych perfum firmy Kenzo. Była tylko o trzy centymetry niższa od Mirona. Gdy stanął przed nią, ich oczy znowu się spotkały. Próbował z nich wyczytać, o czym teraz myśli.

– Cześć – powiedział cicho, wyciągając szczupłą dłoń.

– Witaj, piękne przedstawienie, takie w twoim stylu – odpowiedziała, ignorując gest przywitania.

– Nie sądziłem, że cię tu spotkam – przyznał, biorąc od przechodzącego kelnera kieliszek wina.

– Ja również miałam nadzieję, że nie przyjedziesz – oznajmiła, patrząc mu prosto w oczy. – Ale widać los chciał inaczej – dodała, opuszczając powieki. Upiła łyk szampana. Dostrzegł nieznaczne drżenie dłoni, gdy zbliżała kieliszek do delikatnych naturalnie malinowych i wciąż uwodzicielskich warg.

– Nie można wiecznie uciekać – stwierdził, mocniej obejmując swój kieliszek.

– Ty spieprzyłeś piętnaście lat temu, więc przed czym jeszcze teraz uciekasz? – zapytała, obrzucając go zdziwionym spojrzeniem. „Dobre pytanie” – pomyślał, szukając na nie odpowiedzi. Wyjeżdżając zostawił wszystko. Dziewczynę, która go kochała. Brata, który walczył o życie. Matkę, której jego decyzja złamała serce.

– Wtedy uciekłem od rzeczywistości, a przez kolejne lata uciekałem od wspomnień – wyjaśnił, licząc, że go zrozumie.

– Chciałeś chyba powiedzieć, od wyrzutów sumienia – sprostowała, posyłając mu ironiczne spojrzenie. Może Marta miała rację, to, co on nazywał wspomnieniami, tak naprawdę było szukaniem rozgrzeszenia. Tyle że nie wierzył w Boga, a tym samym obcy był mu grzech. Nawet jeżeli występował on w jego słowniku, kojarzył się z czymś złym. Jednak czy jego postępowanie było złe? Przecież wszyscy wiedzieli o planach związanych z wyjazdem na stypendium. Owszem mógł zrezygnować, ale wtedy zaprzepaściłby szansę, jaką dostał od losu.

– Nazywaj to jak chcesz, ale są rzeczy, które prędzej czy później trzeba wyjaśnić i nie można tego zrobić na odległość – stwierdził, robiąc krok w jej kierunku. Dzielił ich dystans wyciągniętej dłoni. Woń perfum bardziej podrażniła jego zmysły.

– Jeżeli sądzisz, że twój przyjazd i jedna choćby nie wiem jak szczera rozmowa sprawi, że przestaniesz być świnią, to się grubo mylisz. – Jej słowa pełne goryczy nie były w stanie dorównać żalowi, jaki przez ten krótki moment zobaczył w jej oczach.

– Może to zabrzmi pretensjonalnie i melodramatycznie, ale piętnaście lat temu skrzywdziłem nas oboje. Pewnie gdyby nie twój ślub z Jackiem, wróciłbym i zabrałbym cię z tego przeklętego miejsca.

– Marta nie zdołała ukryć zaskoczenia, jakie zrobiło na niej te kilka słów.

– Nie rozdrapujmy starych blizn – poprosiła, ponownie upijając łyk alkoholu. – Powiedz lepiej, jak ci się wiedzie?

– Te rewelacje o moich sukcesach są trochę przesadzone. Owszem, ukończyłem uczelnię z wyróżnieniem, ale taki dyplom otrzymywała połowa tych, którzy poważnie traktowali naukę i mieli jakąś wizję tego, co chcą robić. Otrzymałem amerykańskie obywatelstwo. Od kilku lat mieszkam w San Francisco, wykładam malarstwo współczesne na jednej z prywatnych uczelni. Czasami trafi się wystawa, bywa, że galeria czy muzeum kupi obraz i tak to moje życie się kręci – zakończył, dopijając resztę wina. –

A co u ciebie? – zapytał, obracając w palcach pusty kieliszek.

– U nas zwyczajnie do przodu. – Użycie sformułowania „u nas” Miron potraktował jako chęć podkreślenia jej sytuacji. – Jacek prowadzi własną firmę informatyczną, a ja pracuję w dziale marketingu jednej z kwidzyńskich firm. Mieszkamy obecnie w Rakowcu i nie możemy narzekać.

Chciał zapytać, czy jest szczęśliwa, ale w obecnych okolicznościach uznał to pytanie za mało odpowiednie.

– Będę już uciekać – oznajmiła, spoglądając na zegarek.

– Jeżeli chcesz, to cię odwiozę, wracam do hotelu w Kwidzynie – zaproponował, odbierając od niej pusty kieliszek i kładąc razem ze swoim na tacy przechodzącego kelnera.

– Nie dziękuję, Jacek ma po mnie za chwilę przyjechać – odmówiła, idąc w stronę wyjścia.

Odprowadził ją wzrokiem aż do wąskiego korytarza prowadzącego do drzwi wejściowych. Przez kilka tysięcy dni próbował zapomnieć o dziewczynie, którą kochał i dopiero po piętnastu latach zrozumiał, że to niemożliwe. W pierwszym odruchu chciał pobiec za Martą, rzucić się jej do stóp, wyznać, jak bardzo ją kocha, prosić o przebaczenie. Może gdyby był pijany, tak właśnie by uczynił.

– Przepraszam, czy pan Miron Malik? – usłyszał za plecami poważny kobiecy głos. Za nim stała wysoka smukła kobieta mniej więcej w jego wieku. Ubrana w granatowe spodnie i brązowy półgolf. Nie znał tej twarzy o wyraźnych

kościach policzkowych i dumnym, wysokim czole. Do tego obrazu powagi i dostojności nie pasowały jedynie rozbiegane figlarne oczy o barwie porannego morza.

– Tak, czym mogę pani służyć? – powiedział, ujmując wyciągniętą w jego stronę dłoń o długich jasnoróżowych paznokciach.

– Nazywam się Weronika Kubicka i jestem dziennikarką lokalnej kwidzyńskiej gazety, a jednocześnie żoną jednego z obecnych tutaj absolwentów. Skoro mam tyle szczęścia i spotykam kogoś tak utalentowanego jak pan, to czy mogłabym z panem przeprowadzić krótki wywiad?

Miron nie cierpiał wywiadów. Wszystkie wyglądały podobnie. Banalne pytania pozbawione fantazji. Przeprowadzający najczęściej nie mieli pojęcia o sztuce. Wiedzieli jedynie tyle, ile wyczytali w Internecie. Jeszcze nie spotkał dziennikarza, który zadał sobie trud, by dokładnie poznać jego twórczość. Wszystkim pismakom wystarczało, że nazywa się Malik i ma znaczące osiągnięcia w dziedzinie malarstwa nowoczesnego. Wyjątek stanowili dziennikarze pism branżowych, ale oni bardzo rzadko zabiegali o wywiad. Najbardziej nie lubił dziennikarzy gazet polonijnych. Ci chcieli dodatkowo podkreślić, jaka to Ameryka jest otwarta dla zdolnych obcokrajowców. On znał rzeczywistość i tych, którym mimo talentu kochany wuj sam zamknął drzwi przed nosem.

– To będzie naprawdę kilka łatwych i przyjemnych pytań – zapewniła dziennikarka, widząc jego minę.

– No dobrze – wyraził zgodę, rozpinając guzik kołnierzyka.

– W pańskiej twórczości dostrzegam ogromny wpływ podświadomego aktu twórczego, który zazwyczaj kojarzony jest z ekspresjonizmem abstrakcyjnym. Jednak to, co uderza z pana dzieł, to gwałtowność, z jaką operuje pan kolorem. W jakim stopniu jest to działanie przemyślane, a w jakim podyktowane potrzebą wyrażenia siebie?

Miron zaskoczony pytaniem, przez dłuższą chwilę zbierał myśli porozrzucane w głowie.

– Wie pani, praktycznie każdy proces twórczy jest na swój sposób działaniem zamierzonym. Już samo postanowienie o stworzeniu dzieła i nie mam tu na myśli wyłącznie malarstwa. Techniką dla mnie najbliższą jest color field painting, które w wolnym tłumaczeniu oznacza malarstwo barwnych płaszczyzn. Dominującym elementem tej techniki jest kolor. Ta gwałtowność, o której pani wspomina, to efekt tego, że dla mnie proces twórczy to nie wzór matematyczny, bez którego nie można rozwiązać zadania. Pewnie dlatego często sięgam do technik bardziej ekspresyjnych jak taszyzm. Wielu ludziom podoba się instynktowne traktowanie barw przez artystę.

Wywiad, który miał być krótki, lekki i przyjemny, przybrał formę prawie godzinnej rozmowy. Miron musiał przyznać, że pani Weronika albo doskonale przygotowała się na to spotkanie, albo, co było bardziej prawdopodobne, była miłośniczką, jeśli nie fanatyczką malarstwa nowoczesnego. Około dwudziestej pierwszej przez nikogo

niezauważony opuścił prabucki dom kultury, w którym coraz bardziej rozweselone towarzystwo bawiło się doskonale. Wypogodzone nocne niebo przyciągało wzrok milionami gwiazd. Śnieg skrzypiał przyjemnie pod podeszwami butów. Gdyby nie zmęczenie Miron odwiedziłby jeszcze zakątki, z którymi wiązało go tyle wspomnień. Przeszedł obok ogromnej bombki choinkowej świecącej na środku ronda i ruszył do miejsca, gdzie zaparkował samochód.

– Chciałbym przedłużyć pobyt o dwa dni, czy będzie to możliwe? – Recepcjonista w średnim wieku o nieco psim wyrazie twarzy zmarszczył czoło wpatrzony w monitor komputera.

– W tej chwili mamy dostępny jedynie apartament – oznajmił, obdarzając Mirona smutnym psim spojrzeniem.

– Dobrze, może być apartament – zgodził się Miron zmęczonym głosem. Marzył jedynie o ciepłym łóżku i spokojnym śnie bez obrazów z przeszłości.

Apartament, jak na polskie, w dodatku prowincjonalne warunki, był wyjątkowo wygodny i urządzony ze smakiem. Widząc w łazience dużą wannę Miron nie odmówił sobie długiej gorącej kąpieli. Już w drodze do Kwidzyna postanowił, że musi pewne sprawy wyjaśnić do końca i to twarzą w twarz, tak jak powiedział Marcie podczas spotkania w domu kultury. „Zasadniczych zmian na pewno nie będzie i nadal pozostanę świnią” – pomyślał, wycierając wilgotną skórę szorstkim pachnącym ręcznikiem. Leżąc już

w łóżku odpisał na kilka emaili, zmienił terminy paru spotkań i przebukował powrotny bilet na samolot.

Słoneczny poranek zapowiadał pogodny zimowy dzień. Kilkustopniowy mróz niespecjalnie dawał się we znaki. Miron, zgodnie z kilkuletnim rytuałem, którego nie zaniedbywał nawet ze względu na pogodę, przebiegł pięć kilometrów. W hotelowej restauracji zjadł obfite śniadanie i ruszył do Prabut. Ruch na szosie był stosunkowo mały. Przydrożne drzewa okryte czapami śniegu tworzyły iście bajkowy krajobraz. Taki typowo polski. Mimo licznych podróży po całym niemal świecie nigdzie nie spotkał drugiego takiego. Może lata dziecinne ukształtowały jego wyobrażenie zimy i teraz każdy pejzaż zimowy zupełnie nieświadomie porównywał do tych zapamiętanych z dzieciństwa. Uważał, że teoria, jaką wymyślił, może być prawdziwa, tym bardziej że podobne wrażenia estetyczne dotyczyły również pozostałych pór roku. Parkując na prabuckim rynku był mile zaskoczony jego wyglądem. Znaczna większość kamieniczek została odrestaurowana. Wybudowano również nowy budynek stylizowany architektonicznie na wzór istniejącej zabudowy. Szukając śladów przeszłości ze smutkiem stwierdził, że miejsca, które kiedyś tętniły życiem, zostały zlikwidowane. Nie było już pubu w starym spichlerzu, gdzie organizowano odjazdowe koncerty. To tam pierwszy raz usłyszał zespół Golden Live. To tam zaprosił Martę na pierwszą randkę. Byli wtedy tacy młodzi, zapatrzeni w siebie, zakochani bez pamięci. Ruszył dalej, zostawiając za sobą wspomnienia,

których przywoływanie przynosiło więcej bólu niż radości. Kolejnym miejscem, którego wygląd wskazywał, że lata świetności ma już dawno za sobą i raczej nigdy nie odzyska dawnej świetności, był bar „Pod Jeleniem”, nawet plafon przedstawiający głowę jelenia zniknął z fasady budynku. Przeszedł obok kina, w którym teraz urządzono sklep z meblami. To w nim pierwszy raz obejrzeli z Martą Dirty Dancing. Mieli wtedy po szesnaście lat. Gdyby nie jego wujek, pracujący w kinie, musieliby czekać do pełnoletności. Jednymi z nielicznych miejsc, jakie nie zniknęły z mapy Prabut były kwiaciarnie. W jednej z nich kupił dwa znicze, zapałki i dwa bukiety białych róż. Gdy tylko przekroczył bramę cmentarza dostrzegł i zrozumiał prawdziwe zmiany, jakie zaszły w jego rodzinnym mieście. Szedł wolno główną aleją. Dziesiątki butów zdołały już ubić ostatnią warstwę świeżego śniegu. Doszedł do usytuowanej na wzgórzu kaplicy, skręcił w lewo i po chwili odnalazł grób rodziców. Dłonią w czarnej skórzanej rękawiczce oczyścił marmurową płytę. To samo zrobił z tablicą i krzyżem. Na oczyszczonej płycie postawił zapalony znicz, a obok położył jeden z bukietów. Zamiast modlitwy wolał wspomnienia. Spojrzał na daty wykute w czarnobrązowym kamieniu. Matka przeżyła ojca o dwanaście lat. Na pogrzebie ojca jeszcze wierzył, jeszcze umiał się modlić. Na pogrzeb matki nie przyjechał. Wiedział, że to im zawdzięcza najwięcej. Oboje jako pierwsi chwalili jego dziecięce rysunki. Pamiętał, jak na dwunaste urodziny dostał pierwsze w swoim życiu profesjonalne sztalugi, komplet farb i kilka

blejtramów z już naciągniętym płótnem malarskim. To, jak potoczyło się jego dalsze życie, nie było ich winą. Zasady wpojone przez rodziców były dla niego niemal święte. Większość z nich wciąż była dla niego moralnym kompasem pozwalającym żeglować przez życie. Starał się pomagać innym, zawsze mówił to, co myślał, nie był hipokrytą. To, że gdzieś zatracił wiarę, że przedłożył własne marzenia nad nieszczęście brata, że zawiódł kobietę, którą kochał, było tylko i wyłącznie jego winą. Analizę życiowych postępków przerwał dziwny jednostajny odgłos. Dźwięk narastał i przybliżał się. Miron odwrócił głowę. Od strony kaplicy na elektrycznym wózku inwalidzkim jechał szczupły wysoki mężczyzna ubrany w niebieskie dżinsy i bordową kurtkę. Na wystającej nad oparcie wózka głowie miał czarną wełnianą czapkę, a na nosie okulary w brązowej rogowej oprawie. Zatrzymał wózek obok nagrobka, zdjął czarne wełniane rękawiczki, zrobił na piersi znak krzyża i pogrążył się w modlitwie. Gdy skończył, wyciągnął zmarzniętą dłoń w stronę Mirona.

– Cześć – powiedział tubalnym, nieco zachrypniętym głosem.

– Cześć – odpowiedział Miron, ściskając dłoń brata.

– Widzę, że mnie uprzedziłeś – stwierdził Jacek, sięgając dłonią za siebie. Z tyłu wózka wyjął małą miotełkę na teleskopowej rączce. Ustawił odpowiednią długość i zmiótł z krawędzi pomnika resztki śniegu. Następnie zdjął miotełkę, a na jej miejsce zamontował metalową obejmę. Z kieszeni u boku wózka wydobył znicz, odpalił, umieścił

w metalowej obejmie i postawił na płycie obok znicza Mirona.

– Doskonale sobie radzisz – przyznał z podziwem Miron.

– Jakoś trzeba – odpowiedział Jacek, chowając miotełkę i teleskopową rączkę.

– Dziękuję, że tak dbasz o grób rodziców, widzę, że zrobiłeś nowy pomnik. – Mężczyzna na wózku podniósł wzrok na Mirona.

– Nie masz za co dziękować. To mój obowiązek. Co do pomnika, to zrobiła go mama na rok przed śmiercią.

– Wiem, że masz do mnie żal o to, jak postąpiłem po twoim wypadku.

Jacek przerwał Mironowi machnięciem ręki.

– Miro, owszem, mam do ciebie pretensje, ale za coś zupełnie innego. Po wypadku zachowałeś się jak prawdziwy facet z jajami, wezwałeś pomoc, dopilnowałeś, abym miał dobrą opiekę i za to jestem ci wdzięczny. Nie oczekiwałem, że ze względu na mnie przekreślisz swoje życiowe plany. Powiem więcej, nawet bym tego nie chciał. Mój żal do ciebie dotyczy tego, jak postąpiłeś z Martą. Nawet nie próbowałeś jej przekonać, żeby z tobą pojechała. Uznałeś, że skoro odmówiła, to nie warto walczyć. Miro, ona wtedy potrzebowała twojego wsparcia. Czuła się winna, mimo że w niczym nie zawiniła. Tak po prostu chciał los. Nawet gdybyśmy wybrali trasę, którą ja proponowałem, wypadek też mógł się zdarzyć. Wyjechałeś, a tu zostało dwoje ludzi. Ja – skrzywdzony przede wszystkim fizycznie i ona – z poranioną psychiką. Obarczanie siebie za spowodowanie

kalectwa innej osoby jest w pewnym sensie gorsze od tego kalectwa. Może gdybyś choć czasami przyjechał, byłoby inaczej, sprawy przybrałyby inny obrót. Zostawieni sami sobie po prostu zaczęliśmy szukać w swoim towarzystwie czegoś, co miało być lekarstwem.

Miron słuchał, nie próbując nawet przerywać. Nie sądził, że spotkanie i rozmowa z Jackiem odbędzie się w takich warunkach.

– Najbardziej skrzywdziłeś Martę. Odebrałeś jej wszystko, nie dając nic w zamian, nawet nadziei, że wrócisz i ją stąd zabierzesz.

– Wiem – przyznał cicho Miron, ale Jacek chyba nie usłyszał jego szeptu.

– Mama też ciągle wierzyła, że kiedyś wrócisz, choć na kilka dni, ale ty spóźniłeś się o całe osiem lat. U mnie nie musisz szukać rozgrzeszenia, bo w niczym mi nie zawiniłeś. Matka na pewno ci wybaczyła. Jedyną osobą, która zasługuje na przeprosiny to Marta. – Jacek zrobił ruch dłonią na panelu sterującym i wózek obrócił się w miejscu. – Będę już uciekał – powiedział, ubierając lewą rękawiczkę. Prawą dłonią podał Mironowi bladożółtą wizytówkę.

– Jak będziesz w pobliżu Rakowca to zapraszam na kieliszek czegoś rozgrzewającego.

Miron schował wizytówkę do kieszeni spodni. Z wewnętrznej kieszeni kurtki wyjął swoją wizytówkę, żółtym długopisem dopisał nowy numer telefonu i podał kartonik bratu.

– A ty, jeżeli zawitasz do San Francisco, to zawsze będziesz mile widziany.

Jacek obdarzył Mirona wesołym spojrzeniem.

– Ja w Ameryce? To raczej niemożliwe – oznajmił, chowając wizytówkę.

– Jacek, a nie wiesz przypadkiem, gdzie pochowano Panią Urszulę Sokołowską? – zapytał Miron, przypominając sobie o drugim bukiecie róż i zniczu. – Wiesz, tę starszą damę, która dawała mi prywatne lekcje malarstwa – przypomniał Miron, widząc, że samo nazwisko nic bratu nie mówi.

– Teraz to już wiem, o kogo pytasz. Chodź, pokażę ci jej grób – powiedział brat, jadąc przodem.

Wrócili do głównej alei. Jacek skierował wózek w lewo. Po kilkunastu metrach skręcił w boczną alejkę. Dojechał prawie do końca i zatrzymał wózek.

– Jej grób znajdziesz w czwartym rzędzie, niestety, ja dalej nie mogę ci towarzyszyć – powiedział, poklepując metalową ramę wózka.

– Wielkie dzięki, bez twojej pomocy pewnie bym go nie znalazł – podziękował Miron. Musiał zadać bratu jeszcze pytanie. Okoliczności nie były do tego najlepsze, ale wiedział, że następnej szansy może już nie mieć. – Jacek, a jak Marta się czuje?

Brat odezwał się po nieznośnie długiej chwili:

– Chcesz wiedzieć, czy jest szczęśliwa?

Miron lekko przytaknął głową. Jacek zapatrzył się w sobie tylko widoczny punkt gdzieś na horyzoncie i znowu

zamilkł. Miron pomyślał, że dziwnie muszą wyglądać. Dwóch milczących mężczyzn na cmentarnej alejce. Jeden na inwalidzkim wózku. Drugi z dużym bukietem bordowych róż.

– Nie, nie jest szczęśliwa. Owszem, jest zadowolona, ale zadowolenie nigdy nie dorówna szczęściu. – Po tych słowach odjechał zostawiając Mirona z jeszcze większym poczuciem winy.

Odnalazł grób nauczycielki, której zawdzięczał prawie tyle samo, co rodzicom. Zawsze uważał panią Urszulę za matkę swojego talentu.

Przed odjazdem wstąpił jeszcze raz do Caffe Rondo, gdzie zjadł kilka kanapek, wypił doskonałą kawę i na pamiątkę kupił komplet kubków przedstawiających prabuckie zabytki. Chciał jeszcze zamienić kilka słów z Dagmarą, ale tego dnia nie pracowała. Wracając do Kwidzyna miał ochotę odwiedzić Jacka i jeszcze trochę z nim porozmawiać. Tyle że to, co mieli sobie do powiedzenia, zostało już powiedziane. Ich zainteresowania były teraz na tyle różne, że nie znaleźliby między nimi mianownika. Dojeżdżając do Kwidzyna usłyszał w radiu piosenkę, której nie słyszał od dnia wyjazdu. To przy tej melodii po raz ostatni kochał się z Martą. Zwiększył głośność. Łagodne tony gitary wypełniły samochód. „Zatańcz ze mną jeszcze raz, otul twarzą moją twarz. Co z nami będzie, za oknem świt”. Jechał zasłuchany w głos piosenkarki, nie mogąc przypomnieć sobie jej nazwiska. Tyle że teraz to nie miało znaczenia. Ważna była piosenka

i związane z nią wspomnienia. Niestety utwór dobiegł końca, spiker zapowiedział wiadomości i czar prysł. Przed pójściem do pokoju wstąpił do hotelowego baru. Przytulne wnętrze utrzymane w brązowo-beżowej tonacji z zielonymi akcentami zapraszało ciepłem i jazzowymi tonami. Usiadł przy barze na wysokim okrągłym krześle. Z obszernej karty drinków wybrał Gin Fizz. Czekając na drinka, dyskretnie zlustrował salę. Razem z nim było w barze pięć osób. Dwóch mężczyzn przy stoliku pod oknem, najpewniej biznesmenów, sądząc po ubiorze, przeglądało i analizowało jakieś dokumenty. Przy drzwiach wejściowych w głębokim skórzanym fotelu drzemał gość w średnim wieku o nieokreślonym sposobie ubierania i trzydniowym zaroście na opalonej twarzy. W drugim końcu baru siedziała atrakcyjna brunetka ubrana w czarną błyszczącą sukienkę z odkrytymi plecami. Kobieta popijała drinka, nerwowo zerkając na zegarek.

„Najpewniej na kogoś czeka” – pomyślał Miron, dziękując młodemu barmanowi w nieskazitelnej białej koszuli za podanie drinka.

Pił bardzo powoli. Miał dużo czasu, nigdzie nie musiał się spieszyć. Gin Fizz był dobrze przygotowany. Kwaśny smak cytrusów z dodatkiem syropu cukrowego doskonale przełamywał gorycz i cierpkość alkoholu. Rozmyślając nad ostatnim dniem pobytu w Polsce postanowił odwiedzić Gdańsk. Chciał zobaczyć, czy Trójmiasto posiada jeszcze ten specyficzny klimat sprzed piętnastu lat. Wypił połowę drinka, gdy do baru wszedł niski łysy mężczyzna

w granatowym garniturze. Mimo łysiny wcale nie wyglądał na starego. Wręcz przeciwnie. Z pogodnej twarzy emanowała pozytywna pewność siebie bez cienia wyższości. Mężczyzna podszedł do brunetki, pomógł jej zejść z wysokiego barowego krzesła i poprowadził do drzwi. Chwilę później jegomość przysypiający w fotelu przy drzwiach też wyszedł. Miron dopił drinka i również opuścił bar, w którym pozostali jedynie biznesmeni zatopieni w interesach. Wieczór zamierzał spędzić przed telewizorem. Po aromatycznej kąpieli ubrał wygodny bawełniany dres i zaczął przerzucać kanały telewizyjne w poszukiwaniu czegoś godnego uwagi. Znalazł wreszcie jakąś komedię. Fabuła nie była zbyt skomplikowana, za to pełna scen, które powinny widza doprowadzić do wybuchu śmiechu. Tyle że on nie miał nastroju do żartów. Wyłączył telewizor, ze szklanego stolika wziął jedno z kolorowych czasopism i próbował czytać. Niestety trafił na pismo dla kobiet. Odłożył je i właśnie sięgał po następne, gdy usłyszał pukanie do drzwi. Wstał nieśpiesznie i podszedł, chcąc zapytać, kto tam. Jednak nim zdążył to uczynić, pukanie powtórzyło się. Tym razem było bardziej stanowcze. Przekręcił klucz i nacisnął klamkę. Na progu w bladym świetle lamp z hotelowego korytarza oparta o futrynę stała Marta.

– Cześć, sławny artysto – powiedziała na przywitanie, obdarzając go lekko kpiącym uśmiechem. Miron poczuł wyraźny i ostry zapach alkoholu.

– Czy coś się stało? – zapytał kompletnie zaskoczony jej widokiem.

– A co takiego mogło się stać? Po prostu przyszłam z wizytą. Co prawda, ten facet o psim pysku tam na dole nie chciał mnie wpuścić. Powiedziałam mu, że jestem twoją żoną, a na potwierdzenie podsunęłam mu pod te szczenięce ślepia mój dowód, gdzie wyraźnie stoi napisane Marta Malik – oznajmiła triumfalnym tonem kogoś, kto okazał się sprytniejszy od przeciwnika.

– Marta, ty jesteś kompletnie pijana – stwierdził zszokowany, wpatrując się w nią szeroko otwartymi oczami.

– Wcale nie jestem kompletnie pijana. Gdyby tak było, nie potrafiłabym prowadzić samochodu.

Jej wyznanie jeszcze bardziej go zszokowało.

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że w tym stanie prowadziłaś?

– Może byś mnie wpuścił? – poprosiła, ignorując pytanie o stan, w jakim kierowała samochodem.

Miron usunął się na bok i wpuścił ją do środka. Zamknął drzwi na klucz i oparł się o nie plecami. Marta lekko chwiejnym krokiem podeszła do skórzanej kanapy.

– Całkiem tu przyjemnie – oceniła, wodząc dookoła wodnistym wzrokiem. – Czemu nic nie mówisz? – rzuciła zaczepnie, siadając na kanapie.

– Czekam, aż mi powiesz, co cię do mnie sprowadza?

Marta oparła głowę o wysokie oparcie kanapy, przymknęła powieki, lekko rozchyliła usta.

– Czułam się tak cholernie samotna i musiałam z kimś porozmawiać – wyszeptała zupełnie trzeźwym głosem. – Rzuciłam monetą i wypadło na ciebie – dodała, celując w Mirona palcem. Miron podszedł do drewnianego barku stojącego w rogu salonu.

– Zrobić ci coś do picia? – zaproponował, wyjmując dwie szklanki. – Mam wodę zwykłą, gazowaną, colę, tonik oraz kilka rodzajów soku – wymienił zawartość barku, pomijając alkohole.

– Wódki to mi raczej nie zaserwujesz? – zapytała, zdejmując skórzaną brązową kurtkę i rzucając ją na podłogę obok kanapy.

– Wódka niestety wyszła – rozłożył bezradnie ręce.

– W takim razie poproszę sok pomarańczowy.

Miron napełnił dwie szklanki sokiem i postawił na szklanym stoliku. Usiadł naprzeciw Marty w głębokim miękkim fotelu. Jej wizyta była ostatnim, czego mógł się spodziewać tego wieczoru.

– Każda normalna kobieta na moim miejscu wyszłaby natychmiast z twojego pokoju – oznajmiła, upijając łyk soku.

– Każda normalna kobieta nigdy by tu nie przyszła – odparł, podejmując z nią dziwną grę słów.

– Wiesz, że jesteś pieprzonym dupkiem? – pytaniu towarzyszyły złowrogie błyski w jej rozbieganych oczach.

– Niestety wiem – przyznał smutnym tonem, unikając jej wzroku.

– Przez piętnaście lat próbowałam poukładać świat, który rozpieprzyłeś. Chciałam zapomnieć to, że okazałeś się

egoistyczną świnią, że nie obchodziło cię to, jak cierpię. Jednak najbardziej pragnęłam wyrzucić z serca miłość do ciebie.

Zamilkła, wyraźnie chcąc zobaczyć, jakie jej wyznanie zrobi na nim wrażenie. Miron wiedział, że wynurzenia podsycane alkoholem nie zawsze muszą być prawdziwe. Jednak bardzo często dopiero po wypiciu kilku głębszych człowiek mówił to, co naprawdę czuje. Teraz miał poważny problem, jak zinterpretować to, co właśnie przed chwilą usłyszał.

– Jeżeli mówisz to tylko dlatego, aby jeszcze bardziej pogrążyć mnie w poczuciu winy, to daruj sobie. Ktoś, kto jest na dnie, nie może już bardziej się pogrążyć – oświadczył, wstając i podchodząc do okna. Z wysokości czwartego piętra widział dachy niższych budynków skąpane w seledynowym blasku pełni księżyca, który jak ogromna żarówka wisiał nad miastem. Usłyszał, jak Marta wstaje, a po chwili wyczuł, że stoi za nim. Odwrócił się wolno, zobaczył, jak kilka lśniących łez spływa po jej policzkach.

– Czy ty jesteś aż tak wielkim durniem, że nie wiesz, co chcę ci powiedzieć? – Pytanie zadane łkającym szeptem zakłuło go jak drzazga wbita pod opuszek palca. Gdzieś bardzo, bardzo głęboko tliła się myśl, której jednak nie pozwalał zapłonąć. Myśl pełna nieuzasadnionej nadziei i paraliżującego strachu.

– Marta, nie wiem – zaczął cichym tonem, próbując dobrać najbardziej odpowiednie słowa. Rzuciła się na niego z pięściami, krzycząc:

– Ty nie wiesz, a ja wiem, że nadal cię kocham.

Złapał jej ręce w nadgarstkach. Jej wyzywające spojrzenie mówiło: „No bądź choć raz facetem!”. Objął ją mocnym uściskiem. Przylgnęła do niego jak rozbitek do koła ratunkowego. Czuł jej zapach. Podniecającą mieszankę perfum, alkoholu i kobiecego ciała. Wsunęła dłonie pod bawełnianą bluzę. Niecierpliwymi ruchami dotykała i rozpalała każdy centymetr jego skóry. Uniósł jej twarz z makijażem rozmytym łzami. Całował oczy, policzki, podbródek. Gdy odnalazł jej usta, wiedział, że tej fali nie jest w stanie zatrzymać żadna tama. Odgrodzeni od rzeczywistości latami tęsknot i pragnień, na nowo odkrywali swoje ciała. Czule, nieśpiesznie, bez zbędnych słów.

Leżeli wtuleni w siebie z taką bojaźnią, jakby nawet krótkie rozłączenie było czymś trudnym do zniesienia. Zajmowali ledwie mały skrawek ogromnego hotelowego łoża. Marta, z głową opartą na piersi Mirona, liczyła uderzenia jego serca.

– Dlaczego wtedy wyjechałeś? – zapytała, nie podnosząc głowy.

Miron wolałby uniknąć takich pytań, ale wiedział, że to niemożliwe. Kto jak kto, ale Marta miała prawo poznać prawdę. Przecież była jej częścią i niejako powodem, dla którego piętnaście lat temu zachował się tak, a nie inaczej.

– Widzisz, wypadek Jacka zdarzył się w czasie, gdy wszystkie sprawy z wyjazdem były zapięte na ostatni guzik – zaczął Miron, głaszcząc jej nagie plecy. – W pierwszej

chwili sądziłem, że to nie będzie miało wpływu na nasze plany. Ale twoja postawa i decyzja, że póki Jacek nie wyjdzie ze szpitala, ty nigdzie nie pojedziesz, wywołała we mnie wściekłość. Wściekłość na ciebie, a nawet na Jacka, który przecież niczemu nie był winien. Nie rozumiałem, dlaczego poświęcasz szansę, jaką dał nam los. Obrażony na wszystko i wszystkich wyjechałem. Gdy minął żal i chciałem po ciebie wrócić, dowiedziałem się, że zaręczyłaś się z Jackiem. – Ulga wywołana powiedzeniem tego, co siedziało gdzieś w nim i każdego dnia prosiło o uwolnienie, mieszała się z niepokojem o przyszłość. Czy te kilka wspólnie spędzonych chwil miał traktować jedynie jak niespodziewany prezent od życia? Nawet, jeżeli tak było, to nie żałował przyjazdu.

– Zabierzesz mnie do miejsc, które kiedyś wyznaczały rytm naszych dni? – poprosił, całując ją w czubek głowy.

– No nie wiem, teraz to mam ochotę na coś zupełnie innego niż włóczęga ciemną nocą po wymarłych Prabutach – zamruczała, głaszcząc go po owłosionym brzuchu.

Przez całą drogę do Prabut nie spotkali żadnego innego samochodu. Zaparkowali obok przychodni zdrowia. Jasna okrągła tarcza księżyca śledziła każdy ich krok.

– Jak widzisz, nie ma już naszego cichego zakątka i nieśmiertelnego chłopka – oznajmiła z żalem, zataczając dłonią krąg. Metalowy chłopek, mimo swej toporności, był jednym z symboli miasta. To przy nim koncentrowało się wieczorne życie towarzyskie. Stanowił chyba najpopularniejszy punkt spotkań począwszy od zbiórek na

wspólne dyskoteki w Dapie, a skończywszy na schadzkach zakochanych par w różnym wieku.

– A pamiętasz, jak zjeżdżaliśmy na sankach z tej górki? – przypomniał Miron, pokazując majaczące w ciemności wzniesienie, w którego zbocze teraz był wkomponowany miejscowy market.

– Ale jest coś, czego ani złośliwe zęby czasu, ani zachłanni kapitaliści, ani nawet wandale nie zniszczyli – powiedziała konspiracyjnym szeptem Marta. Chwyciła dłoń Mirona i poprowadziła w kierunku głównej arterii przecinającej miasteczko na pół. Mijane kamienice były ciemne i ciche. Nawet bar naprzeciw ich dawnego liceum nie tętnił już gwarem rozmów i rytmem muzyki. Szli, brnąc po kostki w świeżym śnieżnym puchu. Niedaleko skrzyżowania, tuż za przystankiem autobusowym, stał dziwny twór cały zasypany śniegiem.

– I nikt tego nie ruszył, przez tyle lat? – zdziwił się Miron, pomagając Marcie zgarniać grubą warstwę białego puchu. Po kilku minutach siedzieli przytuleni na owalnym kamieniu. Kiedyś nazywano to miejsce ławeczką miłości. Dlaczego właśnie tak, nikt nie wiedział. Tym bardziej że trzeba było być nieźle wstawionym, aby w tym kawale kamienia dostrzec ławeczkę. Lokalizacja również nie należała do szczególnie romantycznych. Ruchliwe skrzyżowanie i zatoczka autobusowa.

– A ruiny zamku jeszcze istnieją? – zapytał, całując jej zimny policzek.

– Chodź, mój rycerzu, to zobaczymy.

Biegli przez uśpione ulice, trzymając się za ręce. Tuż obok bramy kwidzyńskiej spotkali kompletnie pijanego jegomościa, który na ich widok zaczął krzyczeć na całe gardło.

– Złodzieje, złodzieje!

Nie zważając na jego wrzaski biegli dalej. Zdyszani zatrzymali się przy ośnieżonych ruinach zamku krzyżackiego.

– To co? Idziemy pochodzić po murach? – zaproponowała prowokacyjnie Marta.

– Mam lepszy pomysł – stwierdził Miron, prowadząc ją w stronę, z której przyszli. Bocznymi uliczkami dotarli do samochodu. – Teraz jedziemy na gorącą kawę, a później niespodzianka – zakomunikował uruchamiając silnik. Na pobliskiej stacji benzynowej byli jedynymi klientami. Kawa była mocna, aromatyczna i rozgrzewająca. Gdy odjeżdżali, dziewczyna z obsługi pomachała im przyjaźnie.

– Znasz ją może? – zainteresował się Miron, wjeżdżając na szosę do Iławy.

– Nie, ale gdybym ja dostała taki napiwek, jak jej zostawiłeś, to też bym ci pomachała.

W odpowiedzi wzruszył ramionami.

– W Stanach dawanie napiwków to coś oczywistego. W pewnych kwestiach Polakom daleko do zachodu – dodał, przejeżdżając przez most nad torami kolejowymi. Po kilku minutach byli już nad jeziorem. Tafla wody skuta grubym lodem i zasypana śniegiem wyglądała jak ogromna biała kartka.

– Myślisz, że wytrzyma nasz ciężar? – zaniepokoiła się Marta.

– Zaraz to sprawdzę – powiedział, wchodząc na lód. Pod butami wyczuł twardą śliską powierzchnię. Spróbował tupnąć nogami – lód ani drgnął. Wszedł dalej i tym razem kilka razy podskoczył, również nic.

– Chodź, jest ok – zachęcił ją, robiąc na lodzie piruet. Podbiegła do niego i mocno pocałowała w usta.

– Co z nami będzie? – zapytał, przerywając pocałunek.

– A co ma być? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

– Właśnie nie wiem – przyznał, łapiąc ją za ramiona.